



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY” (wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośnieniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory plam peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji plama i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ. *Polityka:* Gałązka oliwna. — Tydzień polityczny. — Z Francji p. E. Przew. — *Powieści:* Oblawa. Obrzek polski p. Z. Pietkiewicza (Komars). — *Biadania smoków:* Neo historyzm w ekonomii politycznej II. p. dra W. Lewickiego. *Literatura i sztuka:* Z Niemiec p. Jana Karłowicza. — *Holby* polinierne II. p. Hirsbanda. — *Kartki encyklopedyczne:* p. Wiktora Gomulickiego. — *Felieton:* Librum veto p. Pola Prawdy. — Na widokrogu p. K. Zbruckiego. — Wypowiedzi książek p. Leona L. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcji. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

GAŁĄZKA OLIWNA.

„Stosunki Niemiec do wszystkich państwami zagranicznymi są przyjazne i szadawalające. Polityka Jego Ces. Mości zmierzona bez przerwy ku temu, aby nie tylko narodowi niemieckiemu zapewnić blagosławieństwa pokoju, ale i dla utrzymania jednności mocarstw użyć w radzie Europy swojego wpływu, który polityce niemieckiej zapewnionym jest skutkiem jej doświadczonego zamilowania pokoju.”

Takim oświadczeniem w imieniu cesarza Wilhelma minister Böttcher zakochał mowę tronową, otwierającą obrady parlamentu niemieckiego. Chociaż było ono frazeosem, stale powtarzanym przy wszystkich tego rodzaju uroczystościach, gazetcy pochwytyli je i zawiesili u wielkiego dewonu. W chwili niepewności polotenia i nienioszonych obaw o jutro, takie uspokojenie, wypowiedziane ze stanowiska w znacznej mierze rozstrzygującego o losach Europy, miało swoją niewątpliwą wagę, a nawet przynosiło poniekąd niespodziankę. W porze bowiem, w której na ustach i pod piórami unosił się ciągły wyraz wojna, gałązka pokoju musiała wywołać niejaki zdziwienie.

Choć zdziwienie to trwało krótko, zaledwie tyle, ile czasu upływa między pierwszym wrazeniem a rozważaniem. Koniec mowy tronowej zapowiadał trwałość pokoju, ale początek? „*Najważniejszym zadaniem*” — powiada monarcha niemiecki — „które zajął ma parlament w obecnej sesji, jest dalsze ubezpieczenie *sily zbrojnej* państwa.” Jeżeli „stosunki Niemiec do wszystkich państwami zagranicznymi są przyjazne i szadawalające,” jeżeli ich „doświadczone

zamilowanie pokoju” utrzyma swój wpływ, na co armia stała ma być powiększona o 40,000 żołnierzy? Obecna jej cyfra, wynosząca blisko pół miliona, wystarcza przeciw do odczyszczenia, zwłaszcza że deficyt skarbu wzrasta a kraj pod brzemieniem podatków ugina się. Nadto budżet wojenny Niemiec, uchwalony w r. 1880 traci swą wartość dopiero w r. 1888, po ośm wiec już teraz zawiadza go na lat 7 i to z znacznym podniesieniem wydatków? Nie żądną liberalna, ale zachowawcza i półrządowa gazeta *Post* tak pisze o tem nowym wymaganiu rządu: „Wszystkie podwyższenie ciężarów wojennych i pomnożenie podatków jest dla nas nie mniej przykre, niż dla kogokolwiek. Dla nas również wszelki niezbędny krok w tym kierunku jest złem koniecznym, wymagającym też od każdego posła, aby najściślej zbadał konieczność żądań, obejmujących podwyżkę środków i sił osobowych lub finansowych na cele wojenne. Gdzie brak będzie dowodu potrzeby i odpowiedniości w słusznym zaspokojeniu jej, odrzucenie takich żądań jest nie tylko prawem, ale i obowiązkiem każdego posła. Najcięższe przestrzeganie tej powinności baczności i sumiennego badania wydatków wojskowych staje się tem pilniejszym w czasie ogólnej biedy. Jeżeli cywilizacyjnemu poziomowi narodu nie ma się obniżyć, należy każdy fenig uszanować!”

Powtarzamy: tak ostrzega dziennik półrządowy, będący organem stronnictwa bezwzględnie uległego ks. Bismarkowi. Skoro więc tego rodzaju pismo z takim uniesieniem przypomina posłom obowiązek zbadania „konieczności” nowych ofiar na cel wojenny, to widocznie rząd niemiecki tę konieczność widzi, ale spodziwiera się parlamentowi ją wykażać. Dalej — skoro rząd niemiecki uznaje w obecnej porze potrzebę pomnożenia wojska, to róższka oliwna jest tylko malowaną.

Mimo „doświadczonego zamilowania pokoju” w polityce niemieckiej, wiadomo nawet dziecku, że ta polityka stworzyła i podtrzymuje dotychczas wielkie uzbrojenia Europy. Niemcy stanowią dla niej w tym względzie wzór, przykład, one wywołują te „konieczności,” której jakoby same ulegają. Każdemu ich podszubowaniu w górę budżetu wojennego odpowiadają natychmiast podobno czynności w innych państwach. Właściwie zatem pozornie z tej strony uspokojenie, po dokładniejszym rozbiorze, zamienia się na podsyceństwo trwoży.

Jakoż prasa europejska, odbiwszy w swych łamach błdy uśmiech radości, wywołany końcem mowy tronowej, rozpamiętywała teraz jej początek i wierci domysłami bądź 40,000 przyrostu żołnierzy, bądź 50 milionów marek podwyżki wydatków na „ubezpieczenie siły zbrojnej państwa i rękojmię trwałej obrony dóbr pokoju.” O! który mają tę „rękojmię” opłacić, wzdychając smutnie nad nową ofiarą, nie tylko powiększającą ciężar życia, ale także i obawy. Gałązka oliwna coraz bardziej traci swą zieloność, blednie i przybiera postać różgi komatowej na niebie politycznym.

Niedługo parlament przystąpi do obrad nad tym nowym apetytem budżetu, a jakkolwiek *Nordd. Allg. Zing.* wzywa wszystkie stronnictwa do jednności, niektórzy z nich staną oporem a wtedy ks. Bismark będzie musiał przejechać do Berlina i rozwiać ostatnie kłaczki złudzeń wiry w „przypięcielskie stosunki,” ukazując — jak to zwykły czynił w takich przypadkach — „czarne punkty” na widnokręgu. Oienie tych punktów zaśmiał gwiazdkę pokoju, świecąca w mowie tronowej.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Sazon przemówień trwa dalej w pełni. Uspakajające wrażenie czynią mowy ministrów: francuskiego, Freycineta i włoskiego, hr. Robillanta. Pierwszy uśmiał sprawę bułgarską za niezwiązaną z interesami żywymi Francji, natomiast zapowiada, że jeśli Anglia nie postara się o rozstrzygnięcie kwestji egipskiej i kanału sueskiego w taki sposób, aby Egipt nie pozostał w rękach angielskich wyłącznie, natenczas oba przedmiotów wniesione zostaną przez rząd francuski przed forum europejskie. Rzecz jasna, że francuzom chodzić będzie o zwiększenie głosów w radzie europejskiej; żeby ją tedy zjednać, przyłączy się w granicach swej możliwości do utrzymania pokoju. Hr. Robillant oznajmił, że Włochy są w dobrych stosunkach ze wszystkimi mocarstwami, w najserdeczniejszych atoli z Niemcami i Austrią, do których pokojowego programu przyłączyli się. Nad wszystkie atoli te przemówienia głośniejsza jest mowa cesarza Wilhelma, nad którą zastanawiamy się na innem miejscu dzisiejszego numeru. Można ją podzielić na trzy części: w pierwszej zapewnia o miłości pokoju, o bezinteresowności Niemiec wobec traczących się kwestji, zwłaszcza o ścisłej przyjaźni cesarza z dwoma sąsiednimi dworami; w drugiej domaga się powiększenia wojsk niemieckich; trzecia poświęcona sprawom wojennym.

"Klucz sytuacji" — jak słusznie zauważyła *Gaz. Warsz.* — znajduje się nie w Wiedniu, Londynie, ani w Berlinie. Ze jednak i Rosji nie należy na tem, aby działom i karabinom powierzyć głos ostateczny, o tem mówiliśmy w poprzednim artykule.

O dobrych stosunkach Austrii z Włochami świadczą charakterystyczne zajęcia. Francuski klerkalny *Monde* zamieslił wiadomość z Rzymu, że wskutek noty okólnikowej Watykanu rząd austriacki porozumiewa się z innemi państwami katolickimi względem osłony osoby papieża od zniewag i że Hiszpania przyrzeka, że swoje współdziałanie. Wiedeńska *N. Jr. Presse* oświadcza na to, że w obecnej chwili Austrii nie mogłaby nawet podej-

mować jakiegokolwiek inicytywy przeciw Włochom.

Francuskie ministerium Freycineta omal że nie runęło przy rozprawach budżetowych. Oczuliło się, przystępując do programu: „ani nowych pożyczek, ani nowych podatków.“ Jak potrafi z takim programem zmocnić flotę wojenną, jest to zagadką przyszłości. Tymczasem podnoszą się głosy, wskazujące konieczność wniesienia nowych obwarowań w cieśninie Kaletńskiej, żeby ją zamknąć przed coraz groźniejszą flotą niemiecką.

Arcybiskupi i biskupi francuscy, zgromadzeni na pogrzeb kardynała Guiberta, w liście 33, przesłali prezydentowi Gréwemu protest przeciw „bezbosnemu prawu o wykasztaleniu początkowem,“ wyrażając nadzieję, że za wpływem naczelnika państwa prawo powyższe „będzie przeprowadzone z umiarkowaniem i powem uwzględnieniem potrzeb kościoła.“ Wiadomo, że według wspomnianego prawa nauzenie religii w szkołach początkowych jest dowolne, nie zaś obowiązujące, jak dotąd. Podobne prawo istnieje w Stanach Zjednoczonych bez żadnych złych następstw i tamci ni katolicy nie występują z protestami, bo też tam stronnictwo kościelno-polityczne nigdy nie istniało. We Francji duchowniostwo nie miało arszkać się działalności politycznej, i państwo musi z trudem bronić się przed jej wpływami.

Gubernatorem Tonkinu po Pawle Borecie został p. Bihour, zdolny finansista podobno.

W Austrii komisja budżetowa delegacji ciłsiłwskiej przyjęła jednogłośnie kredyt na uzbrojenie armii w karabiny magazynowe. Rezerwici austriaccy, których wielu mieszka w Bułgarii, gdzie trudnią się rzemiosłami, otrzymali wzwanie powrotu do kraju. Donosi o tem depesza Ag. poln. z Daurdewa.

O hr. Janie Tarnowskim, następcy Zyblikiewicza, korespondenci pism warszawskich dosyć zgodni twierdzą, że jest to dobry człowiek, dobry gospodarz, ale ze słabymi zdolnościami. Stańczycy wycielili go na godność marszałka, żeby sobie jak najszerszy wpływ zapewnić. Przyszłość pokaże, czy dobrą drogę wybrali.

Korona bułgarska nowych kandydatów znajduje w osobach: ks. Bogoridosa, który jest bratankiem Aleko paszy i podobno stronnikiem Rosji, ks. Oldenburskiego i ks. Ferdynanda, z linii habsbursko-gotajsko-saskiej, oficera wojsk austriackich, spokrewnionego z wielu panującymi domami. Celem spiesniejszego rozstrzygnięcia tej sprawy, deputacja bułgarska wybrała się w podróż po dworach europejskich, zamierzając zarazem i drugą pieczęć upiec: osiągnąć pożyczkę, tem niezbędniejszą dziś, niż Turcja domaga się wypłacenia haracu, a środków na to brak. Bendorow i Dmitrow, oficerowie bułgarscy, aszestnicy zamachu przeciw ks. Aleksandrowi Battenbergowi, nie przestają rozwijać agitacji z miejsca dzisiejszego swego pobytu, z Bukaresztu. Tymczasem rejenoya szlumiła rozruchy w Ruszuku, Szumli, Bargasie, Filipopolu i Szumli, przedsięwzięcia środki przemocności policyjne, pasportowe i odkryła zamiar buntu w szkole junkierskiej w Sofii, gdzie nauczyciel Teparowicz usiłował jankrów do episki nakłonić; procos Teparowicza ma się niebawem rozpocząć, a ponieważ będzie publiczny, więc budzi zaciekawienie.

Z FRANCYI.

Paryż, 25 listopada.

Partya monarchiczna i tworzenie się prawy republikkańskiej. — Koalicya monarchiczna i „solucyoniści“ — Wybory 4 października 1885 r. i wydalenie prezydentów. — Projekt i program republikkańskiej prawy. — Lewy środek i oportunizm. — Katolicki republikanizm. — Wikidki na przyszłość.

Bieżąca polityka liczy się tylko ze stronnictwami republikkańskimi we Francji. Po za tryumfującym jednak obozem republikanów stoi wyoszekający tryumf — monarchizmy. Oba te wrocie tabory toczą wciąż walkę jawną lub skrytą. Od niedawna zaczęła się dokonywać w lonie ostatniego nader charakterystyczna przemiana, która nie pozostanie zapewne bez wpływu na dalsze losy Rzeczypospolitej. Wskutek

2)

POWIEŚĆ.

OBLAWA.

Obrazek polski.

Za przewodem leśnika z piersi naganianców wypadło trzykrotnie niesforne „tiu ha!“ i pobiegło objąć się o sosny i podkury, najężone kolcami drewnianymi. Szli wciąż naprzód, coraz bliżej legowiska, ciagle wojując „tiu ha!“ i wywijając dragami przed sobą. W myśliwych doch zamarł na chwile. Nasłuchiwał, rychło-li szelest uszu ich dołoci od łohła, a ręce kurczowo zacisnęły się wokół sztyku łohu. Młoda dziedziczka wysiadła z sanek i wyprostowana patrzyła w ostep, ciekawa i niespokojna o męża. Mąż zaś smutny, w bekiesze zielonej, z wąsem inianym pod nosem i w zapascece bobrowej, trzymał w pogotowiu swą edytylewkę, ładnie oprawną.

Jeszcze raz owarło się przeciągłe „tiu ha!“ i z legowiska łomot dołocił. Zwierz się ociekął... Piesarz spuścił ogary ze smyczy, a zaraz potem godzba pisa uderzała o sosny szumiejąc. Kilkadziesiąt palców drążących spoceło na cynglach i gniotło je bezmysłnie. Ogary wciąż zanosiły się la-

montem, skomląc w niebogiłoy „tiah tiah!“ a przed nimi, poprzec polankę śnieżną, sadzili niedźwiedzie. Przedem szła macierz, wiodąc za sobą dwóch roznikałów. Stąpala wolno, pować siły swych mięśni, potarszala kudami burymi i nosła przed sobą głowoczoło szerokiemi pyska wązkiem, klinowatym. Pysk ten znał się z baroć i ulem, a nozdrza z żądłem złośliwej i skrajnej pszołoy. Szczęknęły na stanowiskach myśliwskich kurki odwołone. Służalcza czereda pów naszecekiwała wciąż, cofając się za łada żywym poruszeniem zwierza. Omylił się Michał Zdor, stawiając dziezica pod złomkiem dębu, jako na pewnem miejscu; niedźwiedź przeszedł na sto kroków od niego, zmieniła kierunek biegu i podążyła w inną stronę. Mignęła strzelców z odtyłkowkami, a poszła na tych, co mieli pistoniówki. Odważeńscy przypuścił ją na blizszą matę. Padł jeden strzał dobrze wycelowany i drasnął niedźwiedzie w okolicach bioder. Ryknęła wiecieńko, słupem stąpała. Sadziła na oficyalistów, farbując śnieg, a gdy oglądała się niespokojnie za dziećmi, padł drugi strzał z tejże ręki, godząc śmiertelnie w jednego roznikała. Powtórną ryk, ale tym razem — boleści macierzyńskiej. Mrowie zgroszy przejęło myśliwych. Lunał gród strzałów gorączkowych, odległych, danyh pod wpływem roznieśnienia łowieckiego lub strachu. Prawie każdy był pudłem. Drugo niedźwiedziatko, oguszone hukiem, odbiło się od matki i szmykało samotnie. Natrafilo na innych myśliwych, tam, śladem

brata, zginęło z ręki czynszownika, odebrawszy wprzód kilka niewinnych postrzałów.

Oala kincia drżała, wstrząsana skolemniem ogarów i pukaniem strzelców; zdawało się, jakoby gdzieś w głębi puszczy drugie robiono łowy, bo i tam psy grały i strzelanie słychać było. Tymczasem niedźwiedzia, raniona i pomastraty swych piskląt, dyszała gniewem. Oozyma nabiegłymi krwią miotła groźne błyski. Psy zainjane i spienione, nieprzytomne od zaciętości, głosami ochrypłymi nieustannie dzwoniły jej „tiah tiah.“ A ona skoletana boleścią i roznieśnietioną do szalenstwa, klapała swymi białymi, polaksiłymi zębami. Gdy który ogar zuchwałszy odważył się zbliżyć na odległość łapy jej lub susa, musiał w katuszy strasznej konąć. Hałas, ulbieńcie dziezica, taką właśnie śmiolnością się uniósł i zginął marcie. Zwierz rozjuszony zrobił pół obrotu i wyciął go łapą w zad. Inne psy cofnęły się, drząc, a Haha, padając grzbiemem, zaskowywał z bólu żalność. Wystawił na łup swój brzuch ostry, wpadnięty i łapy trzęsące się, bestronno... Pokorny był wobec przemocy. Niedźwiedźwica spuściła mu jeszcze raz łapę na lewy bok i wyrwała kilka kości. Zaskomilił biedak okropnie i widział w śmiertelnych podratkach, włożony w śnieg. Hukuła cyszas strzelba, kula kolo gęby bzęknęła i jęki psa umilkły... Niedźwiedźwica sunęła dalej, a czereda ogarów osmielonych — za nią, ze swem tubalnym i rytmicznym „tiah tiah!“

najpoważniejszą zamysłów restauracyjnych, co ową są widome znaki i godła, stronictwa zaś, które pod tem przykryciem walczyły, stają wprost na gruncie konserwatywnym, inaczej — liberalno-mieszkańskim. Obalenie rządu republikańskiego odłożono na czasy dalsze; teraz idzie przede wszystkim o obronę interesów klasowych, zagrożonych przez podnoszący coraz wyżej głowę radykalizm socjalistyczny. Póki była nadzieja rybołego odbudowania monarchii, w tym wyłącznie kierunku zwracali się usiłowania opozycji konserwatywnej — dziś jednak, gdy pretensje na wygnaniu, nieprzyjaciół są idzie coraz rzadziej do szturmu, nie czas bronić zasad, trzeba przede wszystkim ratować kasztanie.

W wyborach 4 października 1885 r. zmierzyły się między sobą siły stronictw politycznych, przede wszystkim zaś republikanów i monarchistów. Ci ostatni, dla zapewnienia sobie zwycięstwa, wystąpili z projektem „koalicyi konserwatywnej”, której pierwsi chcieli przeciwstawić Unię republikańską. Koalicya konserwatywna dokonana została pod patronatem Orleanów i na ich głównie korzyść. Przestąpili do niej i bonapartyci. Niektórzy z nich ze swym krzykaczem Pawłem Casagnotem na czele, głosili otwarcie utworzenie wielkiego stronictwa likwidacyi Rzeczypospolitej i przybrali nawet nazwę „solucyonistów”. Wyborcy zapewniły nie spodziewane zwycięstwo „koalicyi konserwatywnej”, dali jej bowiem 200 głosów, co w porównaniu z poprzedniemi 80 było znaczącym krokiem naprzód, w Izbie zaś, liczącej 580 posłów, tworzyło opozycję powatną.

Po tem względem, a jak się okazało, Pyrrousem zwyciężwie, dzienniki monarchiczne otrąbiły przedwczesne upadki Rzeczypospolitej i otwarcie zaczęły rozwijać swe zamiary najskrajsze. Hr. Paryż wystąpił jawnie w charakterze pretendenta, sprząsając ciałko dyplomatyczne na swe ceremonialne przyjęcie itp. Otworzyło to oczy republikanom i pobudziło ich do obrony. Radzie ministrów przedstawiono tajne plany spryszczenia, w Izbie popłynęły się wnioski i interpelacye, skutkiem których było wydalenie pretendentów z Francyi, zarówno orleańskich, jak bona-

partystowskich. Wygnany został hr. Paryż, w ślad za nim podążył ks. d'Aumale. Ks. Hieronim i syn jego Wiktor zmuszeni byli również szukać przytulku za granicą. Wydalenie to spadło jak grom, nie spodziewali się bowiem takiej surowości w wile swego rzekomego triumfu. Republikańskie, prócz pozbicia się pretendentów, chcieli jednocześnie ich zdeklarować, Orleanie bowiem rzecznie przykrywali się pozorami spokojnych obywateli, co powodowało liberalnych i tolerancyjnych republikanów do stanowczego występowania przeciwko banicy. Obecnie maska spaść musiała.

Banicya ta przeszła bez szczególnego wrażenia i nie wywołała w kraju żadnych zamieszek. Chwalono pełną spokojność ludności, z jaką hr. Paryż udawał się na tułaczkę, dodawano atoli jednocześnie, że „czyżnacya rośli świętych — nie królów”. Okazało się resztą niebawem, że przypisywanie zwycięstwa „koalicyi konserwatywnej” przy wyborach przywiązaniu do domu Orleanów, było złudzeniem. Owych 200 posłów wybrano przedewszystkiem jako „konserwatywów”, t. j. przeciwników zwrotu radykalnego, jaki się przejawiał w rządzie republikańskim. Dostrzeżono, że „Rzeczpospolita” stała się po radykalnej pochyłości i starano się stworzyć jej przeciwwagę zachowawczą. O Orleanów chodziło tu najmniej, lubo wpływ ich i organizacya wyborcza pomogły do częściowego zwycięstwa.

Rozmysłania na ten temat prowadzą dziś do powolnego przeobrażenia opozycji monarchicznej na „republikańską prawię konserwatywną”, która postawi sobie przede wszystkim za zadanie powstrzymać Rzeczpospolitą na owej radykalnej pochyłości i zagrożone interesy zachowawczo-mieszkańskie niebezpieczeństw. Z projektem „prawię republikańskiej” wystąpił otwarcie w Izbie jeden z wybitnych posłów monarchicznych, Raul Duval i myślał ta jedna osoba coraz szersze koło zwolenników. Program Duvala streścił się da w punktach następujących: walka z socjalizmem, zachowanie stanu dotychczasowego w sprawach kościelnych, zupełna swoboda nauczania (dla szkół kerykalnych), zachowanie reformy finansowej i odrzucenie zamierzonego podatku od dochodów, ogranicze-

nie wolności zmwów, uwolnienie seminarzystów od służby wojskowej i nieprzedstawianie pretendentów. Program ten, prócz ostatniego punktu, który jest jedynie aktem grzeczności wobec księcia wydalonych, nosi wybitnie piętno zachowawczo-mieszkańskie i niewątpliwie zgromadzić może wokół siebie znaczne stronictwo, skoro jego wyznawcy pobjęda się złudzeń i przestaną być na swój sposób rewolucjonistami. Dla ułatwienia im tej zmiany, organizację się na nowo „lewy środek”, który już był zaniknął prawie zupełnie. Oportunistów, również wysadzeni z siedła przez „radykałów rządowych”, są gotowi dopomóc byłym monarchistom do przeobrażenia się w republikanów konserwatywnych, jeżeli tylko zdołają przy tym ogniu i własną upiór pieczęć.

W ten sposób, jak widzimy, stronictwa zaczęły się grupować we Francji według naturalnego porządku rzeczy. Konserwatyści i rewolucjonisci — oto dwa obozy, wskazane przez samą naturę wewnętrznego położenia kraju. Prorokować nie musimy, jak daleko zajdzie ta przemiana i o ile republikanie konserwatywni okażą się zdolnymi do walki. Znaczący nam jednak wypadka jeszcze, dla uzupełnienia obrazu, że i w łonie francuskiego katolicyzmu, a raczej kerykalizmu odbywa się także przemiana w kierunku zgody z republikańską formą rządu. Henryk des Houx, dziennikarz, wydany z Rzymu przez papieża za skrajne swe przekonania kerykalne, nielenające z umiarkowanym nastrojem Leona XIII, prowadzi obecnie namietną kampanię za pogodzeniem katolicyzmu z Rzeczpospolitą i pragnie go oderwać od przynależności z przegrana sprawą Orleanów, których resztą przywiązanie do kościoła niechodzą zawsze w gronie prawowiernych za podziwianie.

Moglibyśmy na tem zakończyć, dla przedstawienia jednak nadziei, jakie konserwatywni republikanie najnowszego pokroju łączą ze zmianą dokonywaną się obecnie, pozwolimy sobie przytoczyć ustęp z artykułu, pisanego przez jednego z publicystów tego kierunku *). Chodzi o to, żeby naprawić zachwiany dziś mocno bu-

*) La Nouvelle Revue, 1 novembre, 1886.

Na gości poszli. Ci naciśnili cyngle, awynęśli kule, lecz żadna z nich nie była szkodliwą...

Niedźwiedzia skierowała się na pnia dębu, gdzie stał dziesięć ze strzelbą przyparta do policzka. Sądziła wprost na niego, a znowu, patrząc na to z pod drzew, wydała mimowiednie „aheh!” On zaś przypuszcili z lankostówki. Zawisły w powietrzu dwa kłęby dymu sinawego, z dwóch łb. Jedna kula pomknęła górą kędys, a druga poszła dołem i uwięzła w udzie niedźwiedziej. Wydała potężny krzyk boleści Drugiego psa rozszarpała i brocząc krwią, wściekła, popędziła w stronę legowiska. Jeśli dopadnie człowieka, będzie nieposzczęśli.

Za łobem rozległo się: „piłnuj!” a potem przeciągło „tiu ha!” naganaczych. Wymachiwali drągami i kołami, krzycząc bezustanku. Niedźwiedzia sadziła na biel, sięgając postrach. Któryś z huków słabszego dźwięku rozniecił popioł, zawoławszy: „kości połamie!” Cieniał na ziemię drąg i zemknął z ostępu. Za przykładem jednego poszli i inni. Krzyżeli do siebie: „Rzucamy dragi i głową w śnieg, póki żywi!”

Łeb niedźwiedziy tuż, tuż, a szereg naganaczych rzędy. Porzucił koły i dragi, a sami uciekli z ostępu. Rozproszywszy się po lesie, jedni poprzypadali twarzą do śniegu i pochowali w nim swe głowy, inni wdrapywali się na drzewa. Niemal odnawny zostało na stanowisku. Między

nimi był Jenkiej, ów wyrostek siedmioletni, co stał pod sosenką wiotką, i trzdziestki kilka kroków od niego Michał Zdor. „Albo przyjdzie potańcować z nią, albo ja kołem ostrym przewiercić!” — myślał Jenkiej. Injaj mocniej kół swój, aserco trochę zadrżało. „Trzeba się mieć na baczności!” — mianował sobie Zdor, spozierając to na swą strzelbinę mizerną o lufie przytwardzonej tyżkiem do końca osady, to macającą łódź w torbie borsosej.

Gdy niedźwiedzia zbliżyła się do wyrostka na kroków kilkanaście, a on ujrzał jej poruszenia namietne, oczy zaszele krwią, lapy grube i silne, posyłał raz mrużenie groźne, strach go zdjął. Rece i tydki drżały, czuł, że bezwładnie. Wszystkie opowiadania starszych o okrutności tego zwierzaka lotem bityskwym przemknęły mu w pamięci. Niema rady, nogi są psal... Już nie wio, kiedy mu kół wypadł z rąk i rakawie włóczkowe, widział tylko śmierd nieohybą przed sobą. Zdawało mu się, że drzewa, pobrawszy się za konary, zawłoży korowód dokola, a krawce, rozrżane zwłoki psów, później jego winaśno, walały się na śniegu.

— Bracia sokoly! — krzyknął rozpaczliwie — ratujcie, kto w Boga wierzył...

Podkaszające się nogi ledwie go doniosły do sosenki. Objął ją omdlewającymi rękami, przytulił piersi swe do jej kory gładkiej i ściskając kolanami pięć smukły, z łobem zaparty, z sercem zamierającym,

wdrapwał się w górę, a biała tająra zaważdała mu o suche ścię. I czuł się, jakoby był we śnie ściany przez zmorę, jakoby usiłował uciec przed nią i nie mógł, bo i drzewi się opierały i nogi pod nim gięły. Lodowo w galeję się wplątał, gdy u dołu niedźwiedzia ryknęła złowrogo. Męczarnie swe wiekami mierzył, a stało się to wszystko w oka mgnienia. Zdrwało się, że niedźwiedzia będzie sięgać ołowika aż na drzewo, ale nie! Dopadły sosenki, stanęła na tylnych łapach, a przednimi ujęła pnia jej. Szarpała korę pazurami i miasza pianę wścieklej swej z żywicy. Targęła drzewkiem raz, potem drugi. Za trzecim razem poddało się. Miało sześć cali w średnicy, a gięło się w łapach zwierzaka posłusznie od trzojny. Wstrząśnienie było tak silne, że ołowik spadł z drzewa, jak owce dojrzały. Wtedy niedźwiedzia puściła sosenkę, a sama skoczyła nań. Zrazu widział nad sobą jej brzech dyszący, czuł dotknięcie kłutów, lecz gdy pazury zaczęły się wpijać w ciało, stracił przytomność. Stęknął kilka razy beznadziejnie.

Z jego jękiem zmieszal się okrzyk zgromy patrzących. Kudy spieszył w stronę legowiska, strwożony o kogoś bliższego sobie: ojciec o syna, brat o brata.

— Drze, jak Boga kocham, drze! — wołał naganacze, a potem wybuchł przerażeniem „tiu ha!”

Zwierzę zaś rozparł się nad pastwą swą i, mrużąc groźnie, mietosił żywe ciało.

dynek konstytucyjny z r. 1875. „Budynek wzniesiony w r. 1875, czytamy tu, wspólnie siłami monarchistów i republikanów lewego środka jest, bądź co bądź, konstytucyjną monarchią. Świadczą o tem wyraźnie dotychczasowe użytkowania ku obaleniu lub przeobrażeniu tego dzieła. Król winien był pokorować ten budynek. Długo lata oczekiwano nań napróżno, tak, że wkońcu przestano wierzyć w to ukoronowanie. Dzieło zostało nieskończonem. Czyż możemy dziś pozwolić, ażeby tylko usiłowań przeszło bezowocnie; czyż możemy się ludzi, ze koroną odnajdmy w gruchach Rzeczypospolitej?.. Oj, który będzie dośrogi, ażeby namigłności swo poświecił dla potrzeb kraju, zbioru w przyszłości słodkie owoce swego zaparcia się i swych trudów. Dzieło 1875 r. może być spokojnie doprowadzone do bezpiecznej przystani. Kraj powiada wówczas legalnie na tron Francji swego króla, aby już prawdopodobnie stałoby się było dotychczas, gdyby nie fatalna nieroztropność, popełniona w dniu 16 maja...”

E. Krzew.

BADANIA NAUKOWE.

NEO-HISTORYZM w ekonomii politycznej.

II.

Jeden z mistrzów w tej nauce, który umiał najmiśniej łączyć ustawicznie rzeczywistość z abstrakcją, zapłacił faktami codziennego doświadczenia prawdy rozumowo wywiedzione, przeżuwał owy rozłam, który niewątpliwie miał nastąpić, kiedy w swej książce o „zasadach ekonomii politycznej” pisał: „Jeżeli ekonomii będziemy podawali za przedmiot badanie warunków fizycznych, wśród których wytwór dóbr occurs, oraz rozbiór własności tych materjałów i pierwiastków świata fizycznego, z których dobra owe powstają i wytwarzają się, wówczas badanie tego porządku objawów snadno

nałodzić będzie do dziedziny nauk przyrodniczych. Jeżeli zaś będziemy w niej upatrywali tylko aspektów licznych przyczyn materialnych i psychologicznych, wynikających z wzajemnego oddziaływania instytucji społecznych na człowieka i człowieka z jego właściwościami na instytucje społeczne, natenczas badanie stanu ekonomicznego narodów uważać musimy nie za gałąź umiejętności przyrodniczych, lecz za przedmiot osobnej i wprost odrębnej nauki. Nauka ta nie analizuje zewnętrznych warunków produkcji dóbr, przyjmując je bowiem jako istniejące, powierza się śledzeniu ich umiejętnościom przyrodniczym”. Sama zaś nauka, porównując fakty, jakie nam przyroda zewsząd przedstawia, z potrzebami i dążnościami do ich zaspokojenia w człowieku, bada skutki, wypływające z wzajemnego ich na siebie oddziaływania. Wejrawszy tym sposobem w zakryte pobudki, będące istotną treścią dóbr ekonomicznych, wprowadza zapomocą owego porównania ogólne prawa, czyli zasady, na których pierwsza część gospodarstwa społecznego, mająca za przedmiot wytwór dóbr, opierać się winna.

Tak wywiedzione prawa mają znaczenie ogólne, do wszystkich czasów i miejsc się odnoszące, a nauka o nich nosić na sobie będzie znamię prawdy bezwzględnej.

W drugiej części gospodarstwa społecznego bada nauka, w jaki sposób dobra ekonomiczne, wytworzone na podstawie praw owych, rozdzielać się między jednostki w narodzie.

Gdy zaś sposób rozdziału zależny jest wyłącznie od instytucji społecznych, od ustaw i zwyczajów, obowiązujących w każdym kraju, przeto w tym kierunku żadnych praw ogólnych wywiesić nie można.

*) Np. dla bimetalisty sprawą najważniejszą jest „przyszłość złota.” O tem stoli może ma dać wyjaśnienie tylko geolog. Z wykolków tej pracy geolog wywodzi potem bimetalistę podniesienie ceny złota i obniżenie doładow. Ze jedna przyczyna nastąpi — wierz o geologowie; że jako jej skutek pewne objawy ekonomiczne zajdą i zająć muszą, jeżeli inne istotne przyczyny nie będą przedczwilały — wierz ekonomii polt. abstrakcyjnej. *Jahrb. f. N. O. tom. 42, str. 107 — 134.* Dietzel, C. Menger: *Untersuchungen über die Methode der Soc. W.*

a badanie rozdziału bogactwa nie może stanowić przedmiotu ogólnej części ekonomii politycznej. Prawdy uzyskane w tej części bowiem mogą mieć znaczenie tylko ograniczone: dla pewnego kraju i dla pewnego czasu. Badanie przeto rozdziału dóbr ekonomicznych i jego skutków nie może być przedmiotem umiejętności. Co najwyżej, może ona określić warunki, od których saleły oddziaływania instytucji społecznych na podział dóbr, oraz wywiedzieć sposób, w jaki ten podział będzie się odbywał przy tych lub owych instytucjach prawodawczych” *).

Ten rozdział kierunku badania, postawiony przez J. St. Mill'a, jest niewątpliwie do pewnego stopnia usprawiedliwiony; klasyczna umiejętność wcale nie proteutowała do rozwiązywania za pomocą swych „czystych abstrakcji” zagadnień społecznych, pozostawiając *statue* wciąganie metody indukcyjnej do pozytywnego zaspokojenia „kwestyi społecznej” i tych wszystkich zagadnień społeczno-politycznych.

Było w tem echo owego scholastycznego sporu o *art i science*, wiedzionego od dawna w ekonomii. Dalecy od tego, przyznajemy niemniej, że należałoby używać odróżnienia zasad ilościowej teorii od praktyki czyli zastosowania — aplikacji, jak się wyraża — „aby, nauce dać więcej powagi i jasności, a *statue* — czyli praktycznemu zastosowaniu — więcej powności w swoim pochodzeniu.” A gdybyśmy zrobili te różnice w teorii ekonomii, która nie ma ani uciechy zmienić ze stosunków istniejących, ani żadnych społeczno-politycznych zasad stawiać, należałoby posługiwać się metodą dedukcyjną; w praktyce zaś do wyjaśnienia historycznego stanowiska, w pracach opisanych, przyporządkować niejako materjału dla ogólnej teorii, winna być używana metoda indukcyjna, jako pomocniczy i najsposzniejszy środek do przemyslenia i rozwiązania wielkich zagadnień społeczno-ekonomicznych.

Przytem należy dodać, że w tem ogólnem nazwaniu metod „indukcyjną lub dedukcyjną” leżał, pewno odnośnie, które nie zawsze można było rozróżnić. Nigdy za-

*) John Stuart Mill: *Zasady ekon. polit.*, tłumaczył R. P. B., Petersburg, 1859, tom I, str. 53.

Tymczasem Michał Złor złożył się ze swej dwururki, łyczkiem związanej, wymierzył i dmuchnął w samo ucho niedźwiedzi. Zachwiała się, a potem runęła na bezwładne ciało człowieka. Zanim upadła, Złor dostrzegł, jak na pokłonienie „uszczypta” jeszcze raz swą ofiarę.

Zaleknionym odwaga wroćcia. Psy, co na widok człowieka obracanego w łapach zwierza cofnęły się i, sprawy sobie zdać nie mogąc z tego obrazu smutnego, skomlały nieśmiało, teraz poskoczyły ochotczy i targły radośnie kudy burę, nie zrażając się podrygami konania. Naganiacem małego ducha i myśliwi, skoczył do przyparzania sobie sławy koszem cudzej celności, cienieli się do zwłok ugodzonej naroszenie niedźwiedzi. Gdyby nie to, że pod nim spoczywał człowiek, a może trup tylko jego, jużby szukali śladów ran, zadanych przez siebie, przyznając się do cudzych kul.

Podjęto zwierza. Włócony twarzą w śnieg, leżał wyrostek bez cienia. Tyło miało przystojność jeszcze, że pomny przeprosty starych myśliwych, płocy wystawił im łup niedźwiedzi. Krew płynęła mu głowię, boka i ud. Gdy młody doktor nadwrany dziadzia, obejrzał go, okazało się, że tył głowy prawie całkiem odarty był ze skóry, w boku zaś prawym brakowało zebra jednego, a uda przypominały mięso wywołane przez kuchara. Rany były groźne.

Chłopi potrzaskali głowami znacząco, zerkając z podoba. Oskartali w „duchu my-

śliwych o to straszne oiegi obłopięcia krwi swojej. Gdyby się nianich spuszczono, inaczeyjby sobie z niedźwiedziami postąpili. Starsi tylko wystrzelaliby je z zasadki, przyznawszy się na podkurach. Żnden miłkos nie śmiałyby brucha odejść. Jednakże widząc przed sobą marnotę niezwyłą, dawować jej nie mogli psad wyrażdanych za życia. Znęcałi się nad zwłokami.

— Oto ci za ul mój! — przemawiał jeden, uderzając drągiem po pysku. Zmarłemu ma niedźwiedzi „pszczoły jedno” Jonakiego roku, gdy z wysokości kilkunastu sęgni zawalił ul z drzewa. Miod wraz z pszczołami wyziął.

— A to ci za moją bare! — gadał drugi, kopnąwszy w udo. Baro była stara, zasłużona. Wydała młodych rojów bez-luku, a miod z niej był najsmaczniejszy, tro-skliwie przez żydów poszukiwany.

— A to ci za straszno dziewczęta w malinach! — tłumaczył się trzeci z uderzenia kolbą w brzuch. Było ojciec, którego córka latem dostała gorączki niebezpiecznej, wrociwszy z malin. Spotkała się tam z niedźwiedziem. Siedział sobie przyknięty na tylnych łapach, a przednimi jagody słodkie „oszmorkiwał” z krzaków i łodał w pysk wraz z liśmami. Nie udało się mu, widąc, kolce musiałby mu doskwie- rać, więc mrucał. Szelost dziewczyny spłoszył go, a komot jego nozeczki przera- sił ją.

Kazły miało coś do pomieszczenia. A niedźwiedzia leżała sobie ciepła je-

szee, leos bez ducha, obok zaś stętywały od mrozu zniszczone zwłoki dżacy jej. Na saninach nieruchomo, twarzą do nieba, spoczywało ciało Jenkijki, poranione i owadnięte gorączką. Na zapytanie dziadziaki, czyby żył chłopca groziło „podrapanie,” doktor odrzekł poważnie: tak. Niedźwiedzia drgnęła, raz jeszcze wargi czarne i spionione skurczyły się i wyrwały z pod niej pysk. Uśmiech złośliwy zamrzał na jej stępnym pysku.

Za chwile sunęły sanie po tornej drodze, gęsto natłoczone ludzmi, poskrzypujące bobolami, które się tary o „hute” o chaty i o „kopły”. Dzwonki szalały a „dub,” a fale srebrzystych ich dźwięków rozstrząsały się o drzewa, zamierzając niekiedy na obłąk. Po strzałach, nawoływaniach ludzkich i skomieniu psów ciasta nastąpiła w „krasnym rohu.” Pozostała polanka zdeptała przez obławników i zwierza, na niej „buda” niedźwiedziowa i dwa rozrżgane trupy ogarów. Na sośnie zaś szmarzącej sidięwały dwie wrony zapatrzone w ciemność. psie i dzigolek zbiedzony skakał po korze, oblanaj promieniami słońca, uciekającego za bór.

Z. Flakiewicz (Komar).

dną naukę nie może się posługiwać wyłącznie jedną z nich. Zdania bowiem z nich nie obywat się bez drugiej, lecz każda polega na odrębnym, formalnym ujęciu pewnych objawów. Dedukcja znajduje punkt wyjścia w pewnych ogólnych objawach lub przypuszczeniach — indukcyja zaś, wychodząc z doświadczenia, szuka praw ogólnych. Przytem każda z nich w każdej nauce, zachowuje swój odrębny charakter. I tak metoda indukcyjna polega w naukach przyrodniczych przedzwystykim na doświadczeniu, dlatego nazywa się poprostu „metoda doświadczenia”; w umiędcościach moralno-politycznych zaś polega indukcyja na opisie historycznych i statystycznych faktów i dla tego można ją utożsamiać z t. z. „kierunkiem historycznym”.

Dedukcyja zaś posługuje się formą społeczną lub matematyczną.

Od zarania spekulacyi metafizycznej walczą z sobą te dwa kierunki. Dwa razy w ciągu wieków przeznaczonym było angiłkom ocenić umysł ludzki od zjawienia w XVII w. reakcyi przeciw scholastyki, rozpoczętą przez Bacona — od syllogistyk; społecznemu zaś pracami Herschela, obu Millów, Spencera, Lewessa i Baina — od idealizmu niemieckiego.

Lecz wreszcie przyszedł czas, kiedy duchowi niemieckim danem było wywołać naukę angielską od absolutów jej teoryi ekonomicznej.

Z niemieckiej ziemi wionął ów duch realizm, który zapłodnił ekonomię nowymi ideami.

Naród idealistów, który do niedawna sprawował surowiec nauki ekonomii politycznej żywcem z Anglii, począł teraz wywozić w przerobionej formie, duchowy rezultat swych prac po całym świecie stałym i Anglii.

George Campbell, prezydent sokoyi dla ekonomii i statystyki, wykreśli na kongresie w Glasgowie w swoim Inauguraladdress: „Był czas, kiedy zdawało się, że ekonomia jest nauką przyrodniczą i tak ściśle, że można przyjąć w niej do wyników zupełnie pewnych za pomocą rozumowania dedukcyjnego. Lecz później przekonano się, że człowiek nie postępuje w sposób niezmienny według tych praw, które narzuca ekonomiiem prawami natury, że owzem czynności ekonomiczne ulegają względności przyczyn moralnych, których skutków nie można napród obliczyć z całą ścisłością. Nie możemy przeto z zaufaniem polegać na łańcuchu rozumowu z pewnych przesłanek wywiedzionych wniosków. Przeciwnie, za pomocą obserwacyi faktów, a nie za pośrednictwem indukcyi, można i należy każdy wywód upodniać i sprawdzić”.

Niemcy, którzy tak późno pracować zaczęli samodzielnie w kuczyi ekonomicznej, od samego początku swego współuczestnictwa w badaniach odznaczali się pową niewiarą w powszechność t. z. ekonomicznych praw natury i w zbawienności abstrakcyjnej teoryi angielskiej. Chociaż przez długi czas zostawali za pośrednictwem liberalnych wolnobańdowców i popularyzatorów angielskiej teoryi pod wpływem jej nauk, zawsze jednak marzyli o ekonomii narodowej — wyłącznie niemieckiej. Ten patrytyzm w dziedzinie nauki, tkwił nityelko na dnie wszystkich stratai polityki „Zollverein”, lecz najpóźniejszy swój wyras znalazł w t. z. kierunku historycznym.

Rzeczno hała. „Praca narodowa” wniósł formant w sam środek interesów praktycznego życia. Hała te zaczęły zapalać umysły. „Praca narodowa” i „utworzenie

niemieckiego związku cłowego” wywołały ruch, objawiający się powszechnem dążeniem do utworzenia jednolitego państwa niemieckiego. Pod tym wpływem powstał kierunek historyczny, ujawniający się w pracach Lieta, Roschera, Kniesia i wielu innych.

Z chwilą zaś osiągnięcia tego ideału narodowego, objawił się ten sam kierunek naukowy w innej formie.

Z narodu biedaków, filistrów, uznających hiperidealizm „do koniecznie”, z tinnu pionierów powstał nagle naród potężny i zjednoczony. Teraz nie szło już o zdobycie państwa państwowego, lecz o zachowanie go od wewnętrznych walk i dążących przeciwnych „idei państwowej”.

Odłak socyalizm podniósł w Niemczech odważniej niż gdzieindziej standard i znalazł pełniejszą niż gdzieindziej uznanie — zaczął kierunek historyczny zwolna przybierać inną formę.

Uczni, na których słowa Lassala i Marxa nie pozostały bez wpływu, głosili teorię wcale niedaleko w zasadzie odchyłającą się od prawowiernych nauk powag socyalistycznych.

Złobota równość prawna i polityczna — mówiono — jest wcale wątpliwej wartości nabytkiem, bez osiągnięcia dalszej konsekwencyi zasady równości, tj. bez osiągnięcia równości położenia ekonomicznego. Tego wniosku zaś nie chciała wyślagnąć ani filozofia prawna, ani polityka, ani liberalna ekonomia polityczna. Wyciągnięta z całej ścisłości teorya socyalistyczna. Stąd w poczuiciu tej żywości, głoszonej, a niedopowiedzianej, walka przeciw historycznemu ułożonym stosunkom własności, przeciw kapitalizmowi, przeciw obowiązującemu prawu, zwłaszcza spadkowemu — stąd rozogniający się „kwesntya społeczna”.

W narodzie rozwiniętem obudziła się świadomość tej sprzeczności między zasadą, przyświecającą idealnie politycznemu życiu — a rzeczywistością. Teorya socyalistyczna była tylko dalszem rozwinięciem na gruncie ekonomicznym zasad liberalnych: wolności i równości.

Przeciw tym doktrynom socyalistycznym, uderzającym taraniem o podwaliny — z taką troskliwością wniesionego, gmaczu państwowego, zaczęto w dziwnie ryzykowny sposób wieść walkę. Przybrano ich własną broń i wojującą nią, starano się zwyciężyć tym sposobem burzę socyalistyczną.

Podniesiono ich własny standard, usuwają roznocześnie grunt, na którym agitacya socyalistyczna rozrosnąć by się mogła.

Propagandę agitatorów praktycznych wciągnięto do rozpraw akademickich. Sądzono, że tym sposobem zadano socyalizmowi cios stanowiący.

W tych warunkach narodził się *kierunek realizm — etyczny ekonomii*. Latami dokładnie oznaczyć niepodobna, kiedy rozpowszechniając się w Niemczech nieograniczonemu rządowi tego kierunku. Rozwój jego atoli idzie w ślad za ożywieniem narodowej dumy po tryumfach „walki o niepodległość”. Była to bowiem wiodzenie narodowa i państwowa potrzeba owego czasu. Dopiero po t. 1870 datuje się tryumfalny pochód. Zwyjącej wojny francuskiej i utworzenie jednolitego cesarstwa, nadeady od razu inny zwrot kierunku, który nadawał jeszcze pod imieniem „historycznego” wręczano do pracy około odrodzenia narodowego.

Na czele młodych Niemców Bismarck niósł pełne ręce reform społecznych. Wiedząc samowładztwa i hołdownicza uległość niemieckiego mieszczaństwa, natłwili urzeczywistnienie tych zachcianek „uszcześliwienia narodu” — z łaski kancelarza niemieckiego.

Do „fabrykowania” tej społecznej reformy potrzeba było naukowego „aparatu”. I oto za przyczynieniem się przewodów

realistyczno-etycznej szkoły w Berlinie, przystąpiono do rozwiązywania zagadki Socjalizmu społecznego. To polityczno-znamię wycośnie swo nieodrodna piętno na wszystkich pracach, od tej szkoły pochodzących.

(D. c. n.).
Dr W. Lewicki.

LITERATURA I SZTUKA.

Z NIEMIEC.

Dresden, listopad, 1886.

Lipperta *Dieje kultury*. — Jan Scherr umark. — Powszechna muzyka. — Kochalska. — Błow wygwizdy. — Halke w Pradce.

I.

Imię Lipperta znane jest czytelnikom *Prawdy*. Pisalem dawniej o jego „Christenthum”, a o „Diejaich kapłaństwa” zamieszczono tu obszernie sprawozdanie. Pracowity ten badacz historyi cywilizacyi świeżo głosił tom pierwszy dzieła: *Kulturgegeschichte der Menschheit in ihrem organischen Aufbau* (Statgurd, 1886, przeszło 600 str. w wielkiej 8-oci). Zdejmi mi się, iż będzie to praca znakomita, pierwszorzędnej wartości. Znany specjalista na temże polu, Hellwald, ze skromnością godną wszelkiego uznania, oświadcza, że dzieło to Lipperta przewyższa zaletami wszystko, co w tym zakresie dotąd napisano, a więc i jego, Hellwalda *Dieje cywilizacyi*, które się doczekają trzeciego już wydania.

Nie podaję tu szczegółowego przeglądu tomu pierwszego Lipperta, bo właściwszym on będzie po ukończeniu drugiego, który ma być ostatnim; w kilku słowach skróde tylko główne jego poglądy.

Tonem zasadniczym dzieła jest ściśle empiryzm i wielka troskliwość zapatrywania. Każde uogólnienie Lippert wyprawdza z mnóstwa faktów, zaczerpniętych z dobrych źródeł etnograficznych. Upreżden nie ma żadnych, ani idealistycznych, ani materialistycznych. Filozoficznym gruntem jego jest pozytywizm Spencerski; dużo też faktów czerpie z wielkiego dzieła etnograficznego, wydanego pod kierunkiem Spencera, a zbyt mało na kontynencie znanego i cenionego (mówię tu o kilkotomowej *Descriptive Sociology*). Zgadza się też ze Spencerskim wywodem bogów z duchów przodków, odnosząc to oczywiście i wiarę w nieśmiertelność duszy.

Sumieniem, zdaniem Lipperta, jest wytworem dziejowym i przedstawia w każdej dobie historycznej resztę, pozostającą po odjęciu sumy altruizmu od sumy egoizmu; staje się ono powoli drugim, wtórnym (sekundarnym) instynktem w człowieku i może z czasem przedstawiać będzie całkowity altruizm, gdy instynkt pierwotny, egoizm, sprowadzi się do zera. Światło to sformułowanie rzeczy po raz pierwszy, ile wiem, wypowiedzianem jest tak śmiało i przekonująco. Widzi stąd czytelnik, iż Lippert jest optymistą i wierzy, jak Spencer, w przyszły tryumf lepszych pobudek odczłowieczych.

Nie walka o byt jest główną przyczyną rozwoju ludzkiego, ale troska o utrzymanie się; na pozor wychodzi to na jedno; ale w wykładzie Lipperta pojęcia to odcinowano są nieco inaczej: walka o byt cechuje wszystkie jestestwa żyjące; człowiek zaś wyróżnia się od nich tem, iż po odbyciu walki o byt i po ustaleniu i wyodrębnieniu swojego gatunku, poszedł na przód, pchnany nową, jemu jednemu tylko właściwą zabiegliwością o jutro, że tak powiem, czyli przewidującą i rozumem

* W numerze listopadowym z r. 1876 *Forthlighty Review* znajduje się wykład Stanley Jevonsa, otwierający lekcye w University College w Londynie; przełomczono go w *Journal des Econom.* t. 45, zeszyt marcowy z r. 1877, skąd cytuję wyjątek z Campbella

staraniem się o utrzymanie żywota własnego i potomków, ową „Lebensfürsorge“, jak ją nazywa autor. W niej upstrzone o główną dźwignię, wnoszącą człowieka nie tylko nad zwierzęta, ale zapewniającą tryumf jednej rasy ludzkiej nad drugą; że tylko się utrzymały i te zapowały, które potrafiły dzielnie i umiennie życie swoje opatrzyć, chociaż, dodaje Lippert (str. 45), nie zawsze lepszym etycznie dostawało się to zwycięstwo.

Dwa pierwsze rozdziały poświęca on ustawieniu zagadnień dziejowo-cywilizacyjnych, a dalsze szczegółowemu ich rozpatrzeniu. Kolejno więc rozważa w tomie I rozszerzenie się plemion na ziemi, pierwsze ślady bytu rodzinnego, wpływ ognia i narzędzi na rozwój kultury, gioneę pokarmów i odzieży, początki rolnictwa i chowu zwierząt, wreszcie uprawy roślin pokarmowych.

W niektórych rzeczach różni się poglądem od poprzednich dzieł, jak np. od Morgana, Bachofena i Lubbocka co do początków rodziny; naoglę pracę Lipperta pokazywać można za dopełniającą, prostującą i godzącą dawniejsze, słowem zażenowane najwziętszych plodów literatury niemieckiej.

Traci ona przez śmierć Jana Scherra (21 listopada r. b.) zdolnego i uczciwego pracownika. Imię jego nieobecnie jest naszym ogółowi; posiadamy w przekładzie kilka dzieł jego, a pomiędzy nimi dzieło literatury powszechnej w dwóch nawet tłumaczeniach. Urodził się on w Wirmberskiem; umierając, miał lat siedemdziesiąt. Nie sądzono mu było zakończyć życie w ojęzynie. Burze rewolucyjne r. 1848 zmusiły go szukać przytulku w Sawajacry, należał bowiem do najgorętszych radykałów niemieckich. Tam oceniano wysoko jego zdolności i powołano na katedrę historii i literatury do Zurychu, gdzie też do końca żywota pozostał. Pisarz niemiernie oryginalny i śmiały, idealista umiarkowany, a choć tego czasu pesymista aż do cynizmu; ośmieliłby się powiedzieć: Carlyle niemiecki, podobny i w tem do anglika, że na starość dał się otumaniać mniemaniu wielkości posłannictwa Niemiec i nieraz pisał niezgodnie z zezwaniem, ogólnoludzkim poglądem, który, bądź co bądź, głównym był i najszlachetniejszym wątkiem jego żywota. O ostatniej pracy jego mówiliśmy niedawno w *Frankcie* (nr 27 r. b.), ubolewając nad chwianiem się zasad starszego jego się „republikanina“ jak sam siebie nazywał.

Mając sobie za zwykły obowiązek zwracanie uwagę czytelnika na nowsze znane mi pisma donioslejszej wartości, notuję tu świetne studjum Fustela de Coulanges, autora głośnej pracy *La cité antique*, zamieszczone w ostatnich zeszytach *Revue des deux mondes*, zawierające badania nad ustrojem pracy rolnej i wsielnictwa rymiejskiego; większy to przyczynek do dziejów cywilizacji, rzucający wiele nowego światła na sprawę dość ciemną, lecz niemniej zajmującą.

Wspomniałem nieraz dawniej o słowniku ukraińsko-niemieckim Zelechowskiego; dziś już jest on ukończony i świetnie się przedstawia w dwóch sporych tomach. Autor umarł przed ukończeniem druku; ze zgromadzonych przezeń rękopisów doprowadził dzieło do końca profesor Niedzielski. Posiadamy tedy pierwszy dokonany i śmiało rzecz można wybrać słownik ukraiński, piękny pomnik pracy całego życia Zelechowskiego.

Na zakończenie coś o muzyce. Bo jakże, pisząc z najsumkniejszego miasta w świecie, i to w dobie koncertowej, nie wspomnieć choćby przelotnie o sztuce, która jedna może, w obecnej epoce obniżenia ideałów i powąszenia ludzi, przemawia do nas czarownym głosem sfiryszanych i pieśnią zgody.

Możecie sobie wyobrazić, iż zalani tu jesteśmy koncertami, produktami, wieczorami muzycznymi, widowiskami na cele i bez celów. Wśród tej „kwiatów powodzi“ wykwitają czasem tak cudne róże i lilie, że grzechem by było nie schylić czoła przed nimi. Kto usłyszał taką na przykład Kochańską, jak ja tutaj niedawno po raz pierwszy (ehem me miserum!), ten, chociażby był zatwardziałym pesymistą i mizantropem, musi wpadł w zapal i powiedział sobie (i innym, jeżeli wolno), że taki głos, taki śpiew, taki czar, to coś fenomenalnego, to coś czego niemieckiego. Przerzynam na tych kilku wykrytnikach, bo się obawiam, abyście mnie nie posiadzi o przesadzie. To tylko dodam, że w czasach, kiedy w Niemczech wszystko, co polskie, znajduje się pod klątwą, Kochańska nieuknęła się zaspodwu tu, w Dreźnie, przed tysiącami Niemców, mazura Szopena po polsku.

Byłem też świadkiem haniebnego wygwizdania Bolowa za to, że w Pradze znał się i przyniósł za cechami. Smutno to było: wstydziłem się za bliźnich moich, o ile bliżni nazywał nam wypada Niemców, a szczególnie takich Niemców.

Przed kilkoma dniami jechałismy do Pragi, aby usłyszeć na scenie czeskiej po raz trzeci wznowioną *Halke* Moniuszki; grano ją znovu tam przed kilku dniami.

Jan Karłowicz.

HOŁDY POŚMIERTNE.

II.

Jeżeli ambicja narodu może się czuć pociechą cieżą, jak mu okazuje pisarz cudzoziemski, eye kraju bardziej wrogiemu, niż przyjaźnego, to bez wątpienia w tem położeniu szczęśliwym znajduje się Francja. Ma ona w Niemcu-Hoimem wielbiela niepospolitego, a co więcej, natchnionego; bo z ust jego poszłyśza nieśmiertelne słowa pochwały lub uznania, lecz kilka hymnów nieśmiertelnych, jak sam ich piewa.

Z kolei więc Francja poznawa się do wdzięczności — i spłaca ją za pośrednictwem jednego z dobrych przedstawicieli swego piśmiennictwa. — Ludwik Ducrosa, profesor literatury we wrocławskiej potierskiej napisał większych rozmiarów dzieło (*), w którym na podstawie najwiarogodniejszych źródeł i niezmiernie gruntownej znajomości utworów, śledzi bieg życia poety od zarania do r. 1827 i na tle tem rozwija obraz jego twórczości. Jest to pierwsza poważniejsza monografia poświęcona Hoimemu przez byłych władców ojczyznowy Dusseldorfu. Dotychczasowe, jak Emila Montagu, Henryka Julii i kilka drobniejszych, noszą cechę bądź wspomnień, bądź szkiców literackich. Praca Ducrosa jest książką nader poupatną dla miłośników jego bohatera i godną uwagi nie tylko jako baracz, lecz zarazem jako bogaty zbiór faktów i rozbiórów, rzucających silne i jasne światło na osobistość wielkiego pieśniarza. Dla wspomnianych przyczyn rzecz podobną pisze się z zamiłowaniem — a więc i czyta nie inaczej; zwłaszcza, gdy jak obca, rachując się z pokrewnymi studjami, dopełnia ją i prześledza.

Autor ma zupełne prawo twierdzić, iż Heine był najbarziej francuzem ze wszystkich poetów niemieckich — i naturalnie ciesz się z tego. By zaś wyłomaczyć owo zjawisko, bada szczegółowo warunki wychowania przyszłego zakąły Prus i dochodzi do przekonania, że sympatya to bar-

dzo zrozumiała, a nawet stanowi niezbędną ich wynik. Rodzina miasto poety, pogrążona w mrokach duchowego uciśku, z nastąpieniem władztwa francuzów, jedno z pierwszych odczołgała swobodnie. Wkrócenie wojsk napoleońskich było jak gdyby dniem dla zaspalych i zleniwiałych księstw nadreńskich. Nowe prawo cywilne, nowe stosunki rolne z zapalem powitano zostały przez wszystkich, którzy ich dobrodziejstwa poznali, a Heine mógł je odebrać niewornie głębiej. Pierzys, zamykany wraz z resztą żydów w cuchnącem *ghetto*, skąd wyłaził się można było tylko z receptą do apteki, pojął on nalczoć, osem dla współplemienników była prawica wielkiego boga wojny, krzeszącego pęta wyznaniowych upodobań i przywracającego wolność nawałpodoszonym samotnikom. Gdy dawniej żyd wraoającemu z wojny, w której krw przelewał za Niemcy, kazano zdejnować mundur — teraz wolno mu było walczyć i okrywać się sławą na równi z innymi, teraz w imieniu wszystkich religij rabin przyjmował mową uroczystą Bonapartego i wysikał jego podziękę.

Rozmnie więc czyniaki podmiotowo i historyczno złożyły się na gorącą miłość poety dla zwycięzców. Nie był on w niej zresztą odoobnionym, wszyszy mieszczanie płakali, gdy ich wielkorożnik Murat opuszczał Dusseldorf, by objąć tron neapolitański, wszyszy instynktami i uczuciami wybiegali za Ren. Tam życie kipiło — tu wlokło się zółwim krokiem; nieprzyjaciel, droższy później od przyjaciela, wiaoli, jak słusnie mówi autor, furę francuską do Niemiec, a Hoimemu przeznaczonem było stać się jej namiętnym rzeźnikiem. On to plomienią wyobraźni patrolał, jak promienie chwały genialnego wodza padły aż za Ansterlię i Jene; on to oczami pożerał marmurową jego postać, przebiegającą na spienionym ramaku wlnie podobnego grodu, on wreszcie widział, jak szczytki dwadziestojęzycznej armii powrotały z moskiewskich pobojowisk wychłde, wyędniałe, padające z głodu na brak germanickich miast, ubity ponury zwiastun niedalekiego upadku Cezara. On widział zonił jego sławy i otechał ponowierki i upamiętnił je na wszystkie czasy dwoma utworami: „Doboszom Legrand“ i „Dwoma granadyrami“. Głuche tony bębna, wygrawajego „Marsyliankę“ usłysy młody Henryka mowy francuskiej; one wszyszepliy węd ducho niepodległości, więc też spalił im dług zaciągnięty w dziecinieście opowieśia, w której zawarł skarby poezyi, uczucia i dowcipu.

Ta cieżka dzieła Ducrosa należy do ciekawszych i najlepiej opracowanych. Ziarna francuskiego posiewu w wydobywa on skrzętnie z tej ziemi głębi i znakomicie je rozbiera. Do nich też należy licom katolicko-francuskie w Dusseldorfu, w którym Hoine początkowo pobierał nauki, gdzie udooskonili jeszcze ewą znajomość języka i skąd wywolił niepokonany wstręt do wiersza francuskiego, któremu odmawiał wszelkiej do poezyi podatności. Na tenoza przypadają też pierwsze cierpienia przyszłego wieszeza, jak owo zęcanie się nad nim towarzyszy z powodu podobieństwa imienia jego *Harry* do nazwy pewnego ośla, bardzo popularnego wśród gawiedzi, i inne tym podobne przykrości, które kiedyś miały być opłonec taką gorzycą i szyderstwem.

Zatrzymawszy się dłużej nad pierwszymi zawodami miłosnymi wrażliwego młodzieńca, w których autor widzi kolebkę późniejszych arcydzieł jego erotyki, przechodzi on z nim kolejno uniwersytety w Bonn, Getyndę i Berlinie, po których ten w swom zamiłowaniu do burzowskiej wiozercy waleśał się, towarzyszy mu przy tworzeniu „Sonetów alfreoso“ i inych podaż też wdruki napisanych poezyi.

Only tam okres życia nakrośniony został przez Ducrosa na naleganie szerokiom tle.

*) *Henri Heine et son temps (1799—1827)*. Paryż, 1886.

KARTKI ESTETYCZNE.

VI. Kartka składana.

Lat temu dwadzieścia Jęta. — Wystawa szkiców. — Poetya B. Londyńskiego.

Skarżę się niektórzy — skarżę się nawet bardzo wielu, iż poezya nasza zdobywa się dzisiaj zbyt rzadko na utwory „o szerszym oddechu.”

Skarżę to dowodzą przedewszystkiem, że skarżący się zbyt formalnie pojmują wyraz „poetya,” który dla nich oznacza wyłącznie: pracę literacką, pisaną — rymami. Tymczasem poezya może istnieć i bez rymów. Arcydziełami jej są naprzykład: *Anelli i Irydyon*, choć w nich ani dwa wiersze nie rymują się ze sobą. Naważem, z iluż mozolnie wymęczonych poematów, przestrzęgiących skrupulatnie wszelkich prawideł poetyki, naprosto chciałoby kto wyciągnąć choć krople tej wonnej esencji życia, która się zwie poezją!

Pojawiają się więc i dzisiaj utwory poetyczne większe zakresem i rozmiarem — tylko, co zamiast nosić miano poematów, nazywają się prozoprostu: powieściami.

Zmieniają języka swe rzeki, zmieniają też i poezya. Fale jej popłynęły teraz łazyskiem szorokim, wygodnym, które przyjmując w siebie zawartość milionów pomniejszych rzeczadeł i strumyczek, ściekających doń ze wszystkich pół życia i wiedzy. Powieść służy dziś sprawie piękna i prawdy z tą samą skutecznością, co epos, liryka i tragedia.

Zresztą, sami poeci tej nową formę uwielbili. Pisali powieści: Wiktor Hugo, Goethe, Heine, Krasiński; próbowali pisać: Mickiewicz i Słowacki. Jest to forma dobra, gdyż działa natychmiastowo i na wielkie masy. Dodaje też jej niemalże lotności dziennik, który na swych papierowych skrzydłach pierwszy roznosi ją po świecie. Po gazetowym odcinku przychodzi książka, która z półki księgarskiej dostaje się kilku, a z półek taniej czytelnikowi tysiącom czytelników.

Nie powtarzamy przeto tej placolowej, a odpowiedzialnej już skarży, iż nasi wieszczowie nie mają. Choczącyśmy nawet nazwać samowzwaniami tych, co dziś u nas trafiać latni poetyckiej lekliwości próbują, pozostanie nam jeszcze na ukojenie owych lamentów cały zastęp ludzi, tworzących świetne dzieła poetyczne — proza. Czyż Krasiński to nie znakomity poeta-liryk, a Kałowski poeta-tragik? Czyż w opowiadaniach Rezwuskiego i innych z pod tegoż znaku nie dźwięczy bardzo często rytm poezyi eposowej?

W szeregu tym wydatne też miejsce zajmują — Jęta.

Poezja nie tylko nasza, ale europejska, mało liczy tak cudownie pięknych i głęboko wstrząsających pieśni, jak dwie „powieści” tego pisarza: *Szandor Kossuth* i *Hanielka Zehrnika*.

A jest on też niepospolitym poetą i w utworach na szerszą skalę zakroślonych, w których idea swobody bywa prawie zawsze idea przewodnią. Jest to poezja miękka, od klisówie wszelkiej wolna, owiana jednym zapachem stepów i dymem obozowego ogniska nasiąknięta. Jest posiadła *wigor*, którego Krasińskiemu nie dostaje; upodobanie zaś w formie realistycznej broni go od romantycznych wybijalności Kałowskiego. Ale jego realizm nie jest bynajmniej materializmem, a doświadczenie nigdy prawie nie staje się szorstkością. Poza metę młodego konwencyonalizmu wykracza często i z upodobaniem — pamięta wszakże o prawdziwość, przez Krasińskiego zaznaczonej, iż w sferze piękna zmieszać się może wszystko, prócz... chłowa.

Całą artystyczną jego osobowość odnajdujemy w ostatniej powieściowej pracy,

Jak poprzednio dla wyłomaczenia pierwszych nabytków poety, poruszone zostały dzieje провинной nadrekskich, prądy panujące w szkole, osobistości, nią kierujące i książki, które, jak *Don Kiszot* i *Podróż Gullivera* silniej oddziaływały na młodociane umysły wieszczów, tak tutaj wypadło autorowi zapoznać się z duchową atmosferą studium mądrości, z których czerpał Heine. Jak wiadomo, wbrew wewnętrznej nauce powołania, wstąpił on na wydział prawny, ulegając kaprysom stryja swego Salomona, najbogatszego z bankierów hamburskich, który wogóle nie miał wielkiego nabożeństwa do poetyckich rojeń bratanika i często powtarzał, że jest próżniakiem, skoro musi robić książki! — tak bowiem powiadał działalnemu pisarską — ale był to za jedyną podporą jego, stałym lekarzem chronicznej choroby — niedostatków. W Bonn Heine zaczął już uważać na siebie, technicznie reakcji, spłodzonej przez kongres wiedeński. Nawet Fichte, najsilniejszą i najmniejszą z filozofów niemieckich, przyczynił się do pokosmopolitanizmu studentów swym apostołstwem powagi i przesadzonym kulem obyczajowej czystości, a odojopiero mówił Jahnke, który z fatalizmem idyoty głosił nieważność dla wieszkiego, „co pachnie Francją, i wołał do ojców, że „uczony córki mowy francuskiej, jest to użycie jej — prostytucja!” Wkrótce też uroczystości korporacji w Wurtburgu i zamordowanie Kotzebuego, polejczywanego o szpiegostwo, dopełniły miary i rozpętały się, zainaugurowany karlebadzkie ograniczeniami, szereg prześladowań, które i naszego bohatera przed trybunał uniwersytecki zaprowadziły. Jednak i wiele dobrego zawiązało na owej „alma mater” — poznał tam Wilhelma Schlegla, podziwiał w nim pierwszego uczonego, wytwornego zarówno w życiu jak teorii, słuchając z namaszczeniem wykładów, ścisłej analizie eposu średniowiecznego niemieckiego poezji indusów. Ten to estetyk był, oraz mości, głównym mistrzem Heinego, on go wtajemniczał w prawa metryki, przypuszczając bliżej do swej osoby i zaznajamiając z płodami muzyki największych poetów, z pomiędzy których Goethego i Schyllera zaliczał do swych przyjaciół. A ile skorzystał genialny uczeń z nauk przewodnika, widuć już z sonetów, które przewyżsają o tyle sonety Schlegla, o ile ciało żywe i kwitnące przewyższa trupą. Sam zresztą Heine nie wysoko cenił twórczy talent swego nauczyciela i z lekka go wyśmiewał, a już na dobre pusił wodziarskimi w tylko o wzmiarkowanych utworach, gdzie „poronne małpy,” niemieckimi skarykaturowane są, pospolu z dziełkami o małych serduszkach bez miłości.

Wypędzony z Bonn są pojedynkowi — sztukę krzyżową uprawiał z zamiłowaniem większym niż Pandekta — Heine przeniósł się do Getyngi, i tutaj nie popasał długo, również dla zbytniej swady relegowanej; zapewne bez wielkiej z jego strony boleści, jak to widział z satyry, wyszydzał kapłanów Temidy, ich ośzość, sztywność, suchotę i głupotę. I rzeczywiście wyniósł on statystykę jeszcze większą wstępną do studów nad prawem, który spotęgował się nadto przez upodobanie do dzieł. Wogóle prócz materjału do sztywności, prócz „studentów, profesorów, filistrów i bydląt,” prócz kobiet, na których widok niepodobna było nie myśleć o nogach słońca — i jednego, jednego historyka Sartoriusa, co w nim odgadł umysł wielki i zachęcał do swego przedmiotu, Getynga nie mu nowego nie pokazał.

W ognisku życia duchowego Niemiec — Berlinie, Heine dokonywał swego wychowania. Mnóstwo stosunków z lepszymi pisarzami, bywanie w salonach wytworniejszych, dawało mu ostateczną ogładę literacką i naukową. Kilka też wybitniejszych postaci podzielało nieco silniej na

umysł młodego poety, czego dowodem są „Listy z Berlina.” Z tego też źródła czerpie Ducros rysy dla scharakteryzowania ówczesnego nastroju społeczności berlińskiej i chociaż czyni to starannie, jednakże mało wyraziście. Znajdujemy tu wprawdzie fizjognomic „lepszego” towarzysza, sylwetkę króla Wilhelma III, wzorunek obydwój miejscowych, okazy naśladowstwa paryskiej „haute volée,” ale nie zachwycający się tym rozdziałem. Do lepszych trywkał należał obraz filozofii Hegla i jego apoteozy pruskiego ustroju państwowego oraz portrety przyjaciół Heinego: Racheli Levin, jej męża, Varnhagena von Ense, a także brata, Ludwika Roberta. Są to poeci w znaczeniu części francuskiego pochodzenia i gustów; im Heine zawiązał zamiar przeniesienia się do Paryża, oraz temat do kilku sonetów. Tutaj też zawiązał stosunki z Grabbe, Chamisso, Boppem i Wolffem, tutaj zapoznał się bliżej z krajem na Bärenstrasse, wszedł w bliższe zetknięcie z „szalonemi orgiami, w towarzystwie komedjopisarza Deventri i Grabbeego. Życie gorączkowe, przeplatane mnostwem „horbat estetycznych,” nie przeszkadzało mu jednak ścieżkę nad tragediami i liryzmem intermezjo, które niezgodnie ujrzeć miały światło dzienne.

Wszystkie te wpływy i wypadki, pobierane z własnych listów poety, nie składają się jednak, powtarzamy, na jaskrawą, łatwą do pochwycenia rysunek. Dużo tu szczegółów, a mało idei przewodnich, któreby pozwoliły ująć w określone formy rolę Berlina w rozwoju talentu głosemego już wówczas liryka. Nielewie jak *deus ex machina* zjawiają się na tom te utwory dramatyczne „Almanzor” i „Ratoliff,” chociaż nie może wątpliwość olegać, że mniżej zaciędlisz bliższy związek przyczynowy między nimi a pobytom w stolicy Prus. Jest to miejsce w biografii Heinego niejasne, a nie sądzimy, by ciekawość czytelników dostatecznie zaspokajał pogląd Ducrosa na aspiracje, jakich wyrazem miały być owe mało udane piosenki Melpomeny.

Antor mianowicie sądzi, że Heine przagnął za ich pomocą skojarzyć ducha romantyzmu z formą ścisłego plastycyzmu. W „Almanzorze” maluje on kontrast między etyką islamu i chrystyanizmem, nawiasem mówiąc, wpada w śmieszność, albowiem zgrzybiałemu Hassanowi każę wdyhać „o, hurrysek. W „Ratoliffie” zaś holdzie chorobliwiej modnie tragedji fatalistycznej, jaką stworzył Zacharyasz Wernor, a jakiej zarodki tkwią już w „Narzędzonoj z Messyny.” Zamiast fatalizmu logicznego charakterów i namietności, apetytnej akcyi w tym rozkajacy poezji jest przeznaczenie, niekiedy bardzo śmieszne, jak np. fatalność pewnej luby lub dnia w roku. Heine uległ panowaniu manii i skorzystał z niej, ażeby, zdaniem Ducrosa, opłakad własne niezdecydowanie — wówczas to bowiem ubóstwiana tak wytrwale Amalia (Molly) Heine wyszła za kogo innego, jatrząc na nowo nawpół zabłądzoną ranę jego serca.

I Ducros zaznacza wraz z innymi złudzenie młodego liryka co do jego zdolności dramatopisarskich. Heine przechoładł prawdziwie katusze w chwili wypuszczenia w świat obu tragedji. To zdawało mu się, iż są szczytem piękna scenicznego, to, że niegodne są imienia tragedji. Krytyka jednogłosem zgodziła się na to drugie... Nie pomogło odwoływanie się do Voltaire'a i Racine'a, których wskazówek trzymał się rozpaczony poeta, nie pomogły oślawione trzej jedności. Obie sztuki mało są znane i takimi na zawsze pozostała.

(D. n.)

N. Hirschband.

która ukazała się świeżo na rynku książkowym p. t. *Zat temu dwieście* (Warszawa, Gebet, I. W. 1887).

„Opowiadę ci, jak ją nazywał autor, po prostu: jest piękna, choć nie wykończona w szczegółach poetyczna sielanka.

Na tle krwawem wojennej pożogi światłaniemi, cteryzmemi liniami rysuje się tu miłość Lajosa i Marty. Oboje są dziećmi Kroczy, kraju, który gotuje się właśnie do wielkiego dzieła politycznych odrzodzin. Lajos ma schorzałego ojca, Marta dzielnego choć starszego dziada. Ten dziad i ojciec nie lubią się wzajem i nie żyją ze sobą. Nie jest to nienawiść Montekich i Kapulecich, wystarcza jednak do tego, aby oboje kochanków rozdzielić, pozwalając im jedynie na porozumiewanie się — oczami. Lajos nie zamienił z Martą ani jednego słowa, żyje w idealnem oddaleniu od niej, a jednak pewny jest jej serca i wzajemności, że innej dziewczyny za sobą nie weźmie.

Nader to oryginalny stosunek — przypominający miłość Maryusza i Kozęty z *Nedenkum*. Zanim autor polaczył te parę rozkochaną, wrócił kate Lajosowi spłacać dług ojczyźnie. Młodzieniec bije się z Turkami jak lew, bohaterem swem zdobywa sobie miłość opiekuna dziewczyny, a kiedy z nią samą po raz pierwszy z bliska się spotyka, obowiązek każe mu iść do szturmu — nie zamieniąwszy z ukochaną ani jednego słowa...

Czyż nie jest to scena z poematu? Czyż nie obubliwili się nią najwięksi z naszej romantycznej plejady? Kto uważa powieść za „fotografię życia” (?), temu ta konsekwencya autora w utrzymaniu jednego tonu *usque ad finem* wyda się może „sztuczna” — sztucznem jednak w mniejszym lub większym stopniu musi być każde dzieło sztuki. Inaczej nie byłoby sobą.

Lajos i Marta to bliscy krewni Dafnais i Oblioi — a także Hermiana i Doroty, Tadeusza i Zosi... Gromy wsią nad ich głowami i czytelnik drży z obawy, aby spadły; nie, zamiennie sielanki w tragedję; ale autor, pamiętny swego celu, rozprasza wszystkie chmury, jedną po drugiej (fotografowuje znów rzekną: „sztucznie”) i pokazuje czytelnikowi na końcu książki przyczynę błękit cziwowej i politycznej pogody.

Sielanka! szczerza, poetyczna sielanka!

Trzecia z rzędu Wystawa szkiców, po winnaby nazywać się „Wystawą szkiców i... galanterij”.

W pierwszym roku widzieliśmy na niej dużo szkiców malarskich, galanterij zaś ani trochę. W drugim roku mniej szkiców malarskich, a za to trochę galanterij. Obecnie widzimy dużo galanterij, a tylko trochę szkiców malarskich. Połączymy rok jeszcze — a szkice znikną zupełnie i pozostanie sama tylko galanteria.

I wówczas jednak uprzejmi warszawianie nie przestają nazywać tego sklepu galanterijnego — „Wystawą szkiców.” Uprzejmość ich pod tym względem nie od dzisiaj już znana. Alboś nie nazywają „zabawami” zebrań, na których oierpią katastrofów? Alboś nie tytułują „nawinnem” aktorów, którzy finiszą przeszły Machiaveli?

Główną więc treścią tegorocznego wystawy są: wachlarzarki, filizanki, karnocieczki, lichterzarki, portmoneteczki, neseseruchy itp. (wszystko się tam spiszeza, w imię hasła *gracia aux dames!*) Sprawodawcy o drobnych, „galanterijnych” duszyckich poświęceniach każdą z tych nielichych spręgielków szczegółowe opisy. Zachwycają się niezapominającą, którą wy malowała pani A., wędchająca przy chalupec wypracowanej przez panią B., aczerwony ogonek ptaszka, który wyzaczł z pod paluszki panny C., o kry ich przyprawio...

Niech płaczą... my im szczęśliwego rozsewienienia psad nie będziemy. Zrobimy jednak małą uwagę.

Wystawa szkiców ma być z założenia swego: kramikiem artystycznym. Artysci, którzy dość już się gdzieindziej nawiastali, pragną tutaj coś sprzedać. A że łatwiej sprzedać dziesięć cali, niż dziesięć łokci malowanego płótna, i że przedaję znaleźć się w Warszawie „maccenas” o sile pięciu, niż pięćset rubli, przypoasabiają więc na ten targ przedświąteczny, drobne szkice robótki.

Artystom (ale tylko artystom) należy się taki równowaznik, pozwalający pokryć niedobory, na polu pracy poważnej spotkanie. Artystom (ale tylko artystom) wolno też niekiedy posługiwać się zaniedbaną trochę formą, gdyż jest to przywilejem słuchającym prawdziwemu pięknu, iż nie przestaje być sobą nawet w... negliżu.

Dla czegoż jednak te trochę sznars, które publiczność spyje owemu stadku młodych sobie skowronków czy kolibrów, rozkrada im, przy ustach samych, csereda... domowego piastwa?

Bo, pozostawiając już na stronie kwestję „nadbitych galanteryjek” (niebezpieczna), widzimy że smutkiem, iż dziewię dziesiątych miejsce na wystawie zajmują obstrukcy dyletanci i amatorzy, wystawiający tam bezcelnie prawdziwe „grzechy” rysunkowe i kolorystyczne. Publiczność nasza — jak każda — wierzysz pozorem i gotowa kupować te niedołączane, w przekonaniu, iż wszystko co się znajduje na wystawie artystycznej, musi być artystycznym.

Panowie urządzający wystawę zanadto dbają o tytuł uprzejmych gospodarów. Uprzejmość to nie na miejscu. Trzeba niekiedy umieć być niegrzecznym. Jeżeli wystawa zatraci swój artystyczny charakter (ażybkiem krokiem zmierza do tego), straci pozorem i rację istnienia.

Poki czas, trzeba ją oczyścić ze śmieci... Do mioty! zatem! do mioty!

Béranger i Heino wywalczyli dla wesolej piosenki prawo obywatelstwa na Parsasie. Dziś już poważnie sfaldowana szata, mars olimpijki na czoło i podwyższone koturnem stopy, nie stanowią koniecznych przyborów Apolinowego syna. Wyłomem zrobionym przez mistrzów wderać się już dziś mogą „na skale Kalipoy” gienialni śmiechowie i utalentowani postacy, którym ongi honorową furtę Parsas brutalnie przed nosem zatrzaskiwano.

Jednakże i przy tym wyłomie stoi straż, wymagająca od przybylsów — legitymacyi. Wesolosi nierówna wesolosi, ani śmiech śmiechow. Pomiędzy humorem Heinego a konceptami Sotera Rozmiara wykreśla się dość wydatna granica, której lekceważenie nie można...

P. Bolesław Londyński, który wydał swieze swoje *Poesye*, drukowano przedtem po pisemkach humorystycznych pod pseudonimem „Bruno Las,” nie ma w sobie nie z Bérangera i tyleż prawie co nie, z Heinego. W wierszach owych przetrzuca się on do bezcelowego żartu do niewyraźnej satyry, od plaskiej popoliśności do przesadnego patosu, zdradzając duszę niespokojną i chora, która nie zdaje sobie jasnej sprawy z zadania poezyi, ani też z własnych literackich dążeń.

Entwoset rymowniana pozwala mu pisać bez trudu długie szereg strof, które czynią wrzawienie improwizacyi znuconych na papier pośpiesznie, bez dostatecznego przemyślenia i dbałości o formę. Chwilami dławieży w tych strofach echo myśli podnioślejszej, uczucie protestu przeciw społeczeństwu, nieprawdliwości — niknie jednak wprędce, zgłuszone wrzawą innych, zgola niepoetycznych, tonów. Rzechymy może, iż w duszy poety znajduje się jakiś

jedna struna, rozstrojona czy też zerwana, która od chwili do chwili brzęczy fałszywie, psując rządzącą się zaledwie harmonię...

Na ogół — choć autor liczy się do poetów humorystycznych — więcej w jego piosenkach piodnu, niż miodu. Nuda, zwłaszcza też nuda materyjalna, budzi w nim szczerą politowanie. Oburza się na nierówność losów ludzkich, na wyszys samolubów itp. Ale do walki w obronie pokrzywdzonych nie ma dość siły. Jakies smutna, zimne rozczarowanie odebrało mu wiarę w przyjaźń, miłość, honor, szlachetność. *Deklamuje* niekiedy na temat wielkich idei, wzniosłych obowiązków... ale deklamuje zbyt patetycznie, aby w szczególności tych wykrzyków można było uwierzyć...

Najlepszymi w książce p. L. są piosenki lekkie, bezpretensjonalne, w których w zręcznej formie opowiada wesole niedole kawalerskiego żywota, komedye matrymonialne, drobne epizody z życia miejskiego itp.

Czy jednak to wszystko wyjdzie — jak chce autor — „ojożynie na poszytek”... nie wiadomo.

Wiktor Gomułcki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Sila frazury i jego plodność. — Co to jest szlachta. — Motus treis wyrazu. — Stopylatu lodowicy. — O kogo walczą. — Bank Hkwidasyjny. — Obliczenia w tytule. — Szczyty naliwozicy. — Mierziawski. — Mieszkacy Stanisławowa jako palmsiści w stylu Dawida. — Jak wychodzą za małżeństwo żydowski i jak się kochają żydzi. — Handel ziemny. — Bledna miłość. — Pojeżrzane kwiaty uczu.

Rzeoz dziwna, jak trudno człowiek roztaje się szlachetnie, chociażby ten frazes na wierzchu nosił swoją fałszywość, chociażby do szosetu wyszło w jego lupinie ziarno sensu. Ludzie łatwiej pozbijają się enoty i występku, niż odziedziczonego lub nabytego i stale powtarzanego frazesu, wszelkiej brodawki mózgowej, której niczem odciąć niepodobna. Moższ kogos nauczyć lub odczyć tańca, algiebry, picia abayntu, filozofii idealno-realnej, wolaputki, ale daremnie odwezwieszajbyś go od mówienia: wesółd słoncu — większa polowa — mości dobrodzieży — dalibóg — grzechczy francuz — światobliwy kaplan — pozitywista itp. Nalóg ten nie ogranicza się do życia towarzyskiego i jego spraw drobnych, sięga on w najwyższe sfery wiedzy. Z pustego frazesu wyrósł las systemów, całe gałęzie nauk. Obecna ekonomika, czy socjologia, tłuże się w kwadracie, którego jeden bok stanowią chłopi, drugi — szlachta, trzeci — mieszczaństwo, a czwarty — arystokracja (w ostatnich dopiero czasach dodano bok piąty z ludu robozego). Nie przeczę, że ta figura odpowiada poniekąd rzeczywistości, ale ileż w niej złudzeń i sztućki! Co to jest np. szlachta? Czy klasa społeczna oznaczona pewnem pochodzeniem, czy też skupnietą w pewnej dziedzinie pracy i interesów? Czy to nazwa etnologiczna, czy też ekonomiczna? Nie wiem. Posiadacza herbów zajmują różne stanowiska — urzędników, kupców, przemysłowców, posłańców, konduktorów — i socjologowie nasi nie liczą ich do szlachty, która z tym tytułem występuje dopiero na roli. Ale i ta rola nie stanowi jej podstawy: ziemia bowiem w znacznej części należy (jako własność większa) do ludzi najrozmaitszego gatunku — prawnie, szlachocha zaś do kapitali-

stów — faktycznie. P. Skiński — karmazyn-rodowy, staje w jednej kategorii obok p. Pufkiego, którego punkt ciężkości politycznej, religijnej i społecznej leży nad Sprewą lub Renem. Nie doszł na tem, ów p. Skiński, którego majątek warte 100.000 ra., ma na nim długi 75.000. Jeżeli wszystkie tego rodzaju wypadki dodamy razem, to wypadnie nam, że szlachta stanowi karmazyn, dorobkowiec, mieszczanie, niemiecy, żydzi — wszyscy właściciele większych kawałków ziemi, oraz że właścicielami tej ziemi są nie ci, którzy w jej wartości mają 75, lecz 25%. Taką regułę postawił frazes. Szewcom dziennikarskim, którzy skórę z tego frazesu naciągają na swoje kopyta i robią z niej buty dla dobra ogółnego, zdaje się, że oni istotnie trzymają w ręku coś rzeczywiście, tymczasem oni trzymają tylko złudzenie. Rozumiesz, racieństwo w obronie ludu wiejskiego, robotników, mieszczan, arystokratów, ale co znaczy książkowa i gazetowa adwokatura szlachecka — nie pojmuję. Nie widzę bowiem tej „licznej i poważnej warstwy”, która kiedyś była całym narodem a dziś ma być jego „cołem”. Ścisłe bowiem biorąc, adwokatura ta odnosić się może co najwyżej do szczołepiej garstki ludzi, którzy istotnie posiadają herby i ziemię, tradycyjną i warstwą ekonomiczną własną, a nie dzierżawioną za wysokie procenty od kapitalistów. Szlachta polska stopniała, jak wielki lodowiec i wiązka w rozmarze pokładła narodu, rozpłynęła się w potoki; tylko tu i owdzie pozostały na wyżynach jej odlamy. Już nie pokrywa ona sobą wielkiej przestrzeni ziem, zajętej przez inne nalcoty i nasypy; utratami więc jej z całem samodzielnym ziemiactwem jest bezmyślnym nadużyciem wyrazu.

Prasa nie może zachowywać tej ścisłości w swoim słownictwie, co literatura naukowa; ale i ona nie powinna wywieść na swych standardach swych wielocennych, jałm do sąj jej godła bojowe. O prawa jakiej szlachty walczyć jej szermierze? Czy szlachty wogóle, a więc rozsypaną w Niesieckich lub wroście Kościńskich, bez względu na jej zajęcie? Czy nieliczną szlachtę rolnej i bogatszej? Czy też kruszą się kopie i łamą karki w obronie posiadaczów własności większej, tej mieszczańskiej pierwiastków najrozmaitszego pochodzenia, swojskich i obcych, słowiańskich, germańskich, romańskich, semickich itd.? Odpowiedź jasna na to pytanie przewalała grę w ślepą błąkę naszego konserwatyzmu, ale usunąłaby ze sporu wiele nieporozumień, które słusznie za punkt oparcia dźwignięm młotów Archimedesów socjologii domorodłej.

Odpowiedź ta wykazywał również, komu służył bieżący projektowany „bank likwidacyjny” w Warszawie, badający bardzo wiele zapalu wśród przyjaciół „szlachty”. Wogóle od pewnego czasu w naszej recepturze społecznej banki uważają się za główny środek, wzmacniający zdrowie narodu. „Tani kredyt” jest najpiękniejszą marzeniem „szlachty”, ideałem, którego niezdolna zrównoważyć ani praca, ani energia, ani umiejętność gospodarstwa. Związana od wybuchu przelotu rolnego, ów „tani kredyt” stał się zwrotką wszystkich pieśni, błaganiem wszystkich litani, pająnując nutą wszystkich gorzkiech słów większej własności ziemskiej. Tego tylko braku, żeby na nią padły blaski szczęścia. Nie jestem socjalistą, nie pragnę pomoru lub zgłady dla ludzi dwudziestowiekowych a mianu niebioskiej dla półwiekowych, nie otworzyłbym wyłączenia puski Pandory dla obywateli, a rogu Amaltoi dla chłopstwa; wierzę, iż do pracy nad poprawieniem narodu winny być powołane wszystkie jego żywioły, wioły, że rolnictwo przeschłoby obecnie niemoc ciężką i sąsługującą na ratunek, ale pomimo to sądzę, że rojenia o takim kredycie są albo

naiwnością, albo manią, że on nie zastąpi zdolności i przymiotów gospodarczych. Jeżeli dług lichwiarski jest nożem ostrym, to bankowy — typem, ale zawsze nożem. Bank likwidacyjny chce więcej na miejsce wierzycieli prywatnych ziemi i dać jej właścicielowi pomoc mniej drogą! Ani słowa — korycie. Ale nie należy jej przeceniać. Pamiętajmy, jakie to cuda zrobił miśły dodatkowe pożyczki Towarzystwa kredytu, siomak — gdzie są te skutki? I bank likwidacyjny tego lub owego podporze chwilowo, lecz t. z. „szlachty” na nogi nie postawi, a dotrzyma jej tego, co przyrzeka w swym tytule — zlikwiduje ją. Masi ona więc pójść dalej w kierunku wysilen i ofiar, w którym po ożęsi już poszła pod naciskiem konieczności, masi być ukształtowaną, rzadną, oszczędną klasą *przemysłowców* rolnych, a nie *obywateli*, *sposób* większych w bezczynności rentę gruntową i trudniejszych się jedynie rozrywka i tytułarnym przedstawicielstwem narodu.

Ta nasza, pocziwa szlachta, ale dżiocina naiwność dosięga często takich szczytów, na które zdrowy rozum obłąkeli ledwie za nią podążyć może. Klaszemy w donio, zapomniawszy o wszystkich, co okucamy, widzimy, słyszymy i przysięgamy sobie, gdy p. Mierzwinski nazy się libret niemieckich, żeby mógł z łepsem podwódnym występować w operach Wagnera, jesteśmy gotowi każdy, najprzeciwiejszym naszym zasądem obywatelskim zarobek polaka za granicą włożyć do chwały „narodowej”. Alboż na tem koniec Rząd włoski polecił zburzyć celew? Stanisława Kostki w Rzymie. Mieszkańcy Stanisławowa galicyjskiego wysłali z tego powodu adres, proszący o milosierdzie dla pamiętki po ich patronie. „Adres ten — donoszą korespondency — przedrukowany w dziennikach włoskich, zrobił głębokie i poważne wrażenie; porównują go z *palinami* Davida.” Przesłany frazes którego z gazet rzekło za dobrą monetę prawdy, i dziś wiadło które pismo polskie nie głosi światu wieści, że mieszkańcy Stanisławowa urodzili coś różnego palem David, Ludzie rozsądni, oświeceni, krytyczni, jak wy możecie bezmyślnie powtarzać taką banialukę! A toż przycyżycie ten adres i palem Dawidowo — albo — zamówie u poetów stanisławowskich, żeby wam ułożyli piękny rozdział Biblii narodowej.

Pewna (bezienny) Dawid warszawski wyśpiewał w osobnej broszurce żale nad małżeństwami naszych żydów. Opisuje on w swym palmie rozmaite postacie sprzedawcy ciał bez ser i posągów bez miłości, ubolewając nad tym handlem, który w świecie żydowskim stał się regułą z rzadkimi wyjątkami. Istotnie, żydzi najbardziej u nas zamienili małżeństwo na interes pieniężny, wśród nich najrzadziej rozwita miłość przed ślubem. Tej spółce również nadali oni charakter handlowy, przy którym uczucia grają rolę podrzędną. Ale nie wiadomo, gdzie obłód rachuby jest większym: na dół, czy u góry, w sferze setek, czy tysięcy rubli. Uczniowie gimnazjum już się kochają; czy to robią gimnazjaliści izraelci! — nie wiem, nawet nigdy o tem nie słyszałem. Najlekkomyślniejszy lub najsamolubniejszy „aryjczyk” ma serce uabie miłością; tymczasem widziałem wielu młodych „semitów”, którzy kupując względy żalotnie, nawet nie myśleli o kochaniu. Odkładali to na później.

Targ ożywił się a popyt na bogate żydówki wzmożił się od czasu, gdy na rynek wystąpił „aryjczyk”, gdy rozwinęła się ukasana na scenie przez K. Zalewskiego fabryka „naszych zięciów”. Nie można powiedzieć, żeby w tych transakcjach jedna tylko strona była towarem, gdyż właściciel sprzedają się obie — następnie tylko zamiana posagu na stanowisko społeczne. Ten handel ziemny stał się tak daleko

zwyyczajowy, że jego pozory padają nawet na stadla innymi, szlachetniejszymi węzłami spojone. Niech chrześcijański Romeo posłabi żydowską Julię, nie opowie dziejów ich serca Shakspeare, lecz Molière.

— Słyszaleś pan — mówiła przy mnie pewna towarzyska kuryorka do poważnego mężczyzny — ...ści żeni się z... goldówną.

— Szczęśliwy.
— I podobno z miłości.
— Bagać! 50,000 ra!

A jednak może ci ludzie kochali się istotnie! Doprawdy, żal mi ich. Biedną jest miłość, która nie może zetrzeć z siebie znamion występku, ale nie mniej biedną taka, która niesłusznie musi nosić pozory ziemnej rachuby. Świat się zbyt żałaj, żeby nie był podejrziwym. Każdy kwiat uczuć nazywa sztucznością, a gdy dotknie i zobaczy, że naturalny, domysla się w płatkach jego korony — robaka.

Poel Prady.

NA WIDNOKRĘGU.

Powodzenie Towarzystw kredytowych miejskich kaliszkiego i lubelskiego. — Wielka i mała własność ziemska. — Drogi w Piotrkowie. — Kto raźniejszy. — Cud w radomskim. — Nasze Lejorty Szerkie. — Prasa prowickonalna! wystawy gubernalne.

Młodsze towarzystwa kredytowe miast Kalisza i Lublina cieszą się powodzeniem. Listy lubelskie płacone są przeszło 101 za 100; podobnie kaliszkie idą cingle w górę. Jedną i drugą zadowolają wysoki kurs w znacznej części temu, że mają sześcioprocentowe kupony. Z drugiej strony wszakże ogromny popyt miejscowy na te papiery przekroczył raz jeszcze, że kapitałów w kraju jest pod dostatkiem, lecz że są zarządzone do wszelkiego rodzaju przemysłu, poczynając od „upadającego” wielkorolnego, aż do wygrzebnego się z trudem z powojaków handlowego i fabrycznego. W Kaliszu minął w listopadzie trzymiesięczny termin zapłacenia drugiej, wrześniowej raty pożyczkowej i księgi Towarzystwa kredytowego nie wykazywały ani jednej zaległości, mogącej spowodować sprzedaż przynusową. Właściciele domów w Kaliszu wystawili sobie dobrze świadectwo. Prawda, że i dyrekcyja miejscowa z niemiejską postępowala ogolednością. Suma wypłaconych po dzień 1 września r. b. pożyczek wynosi 197,100 ra., wartość zaś techniczna ubezpieczonych nieruchomości (murowanych) oszacowaną została przez komisję na 512,450 ra., szacunek sprzedany na 613,400 ra., ubezpieczono są na 381,200 ra., a dochodu rocznego przyniosą 54,518 ra. (prawie 9% wartości sprzedawczej). To znaczy, że pożyczka stanowi nieco więcej niż 32% szacunku sprzedanego nieruchomości, 33% szacunku technicznego, a 51,70% ubezpieczenia od ognia. *Kaliszanin* skarzy się jednak na to, że cona tamiecznych listów nie dosięga cyfr jeszcze wyższych, o co obwinia „spekulację miejscowych małych Rotszydów, którzy wykupują natychmiast wszystko, co się ma ukazać na rynku i podnoszenie kursów możliwie opóźniają.” Ciekawa rzecz, oby *Kaliszanin* powiedział, gdyby „mali Rotszydzi” nie chcieli kupować tych listów i czyby podobna niechęć nie spowodowała obniżki kursu.

Sprzedają przynusowo dobre ziemskie natomiast nie ustają. Donosi o nich *Kaliszanin*, donosi i *Gaz. lubelska*. W tych działach sprzedane zostały za 31,700 ra. dobra Kłostów, położone w powiecie chełmskim i obejmujące 41 włók. Nabywca jest p. Dutkiewicz, adwokat. Inaczej rzecz się

ma z własnością mniejszą. Z łączckiego pisa, że włóscianie tamozni umieją nie tylko utrzymać w swych rękach zagon ojczy, lecz potrafią wyparować z niego siebie niemiec, osiadłych w czasie, kiedy ta część kraju była pod panowaniem pruskim. Pomiędzy innemi kolonia Mikolajow przed dziesięciu laty była napół niemiecka; dziś pozostało ledwo kilku niemieckich osadników, resztę gruntu wykupił nasz chłop i kolonia odzyskała fikcyjną swą. Według urzędowych danych, jak pisał tenże sam korespondent, włóscianie powiatu łączckiego nabyli sposobem parcelacji a obszarni dworskich przeszło 20,000 morgów. Nieopodal Łęczycy właściciele osmiówłokowego folwarku chcą odprzedać sześć wioł, a resztę zatrzymać razem z dworem i ogrodem. Włóscianie z pobliskich wsi, dawniej rządowych, dają po 150 rs. za morg, proponując jednak właścicielowi, aby sprzedał całą przestrzeń folwarcznią z budowlami i zniszczeniem, ofiarując w takim razie za wiołkę po 5,000 rs.

W jednej z nowowydanych książek znalazłem przedziwnie wyjaśnienie powodów głębokiego przywiązania chłopów do roli. „Ziemia dla każdego wieśniaka staje się jakby kasa (oszczędność), której drzwi są zawsze dlań otwarte, która przyjmuje najdrobniejsze wnioski bez żadnych formalności, płacąc od każdego wkładu procent, często wprawdzie bardzo drobnym, ale zawsze pewnym. Posiadanie ziemi, to z jednej strony prawo do robenia oszczędności bez gotowizny, z drugiej zaś, nieograniczona nicem swoboda rozporządzania swym czasem, obracania na swój pożytek każdego członka rodziny, a to wszystko razem stanowi przywilej niezmiernie cenny, które wymagają, aby je opłacono drogą, bo pozyskanie ich częstokroć równie było kosztowne. Wreszcie miłość dla ziemi przechodzi z ojca na syna i stopniowo zamienia się w ślepy instynkt...”. Wystawmy sobie teraz człowieka, który został dziedzicem z bożej łaski, ale nie — rolnikiem. Ziemia staje się dlań jakby kasa, ale pożyczką, której drzwi — bipoteka — są zawsze dlań otwarte, lecz która, dostarczając mu pieniędzy, wymaga niemiłych formalności, a między innemi placenia procentu nie zawsze pewnego, ale zawsze dość wysokiego. Z drugiej zaś strony ziemia ta, wymagając staran, krepnie nicem swobodę rozporządzania swym czasem, swobodę, która byłaby zupełną, gdyby kapitał w ziemi utopiony mógł być ulokowany w papierach procentowych. Otóż jeśli dawa takie żywiły jak rolnik i nierolnik o ziemię współwłaściciel się muszą, to wynik walki jest nieuchronny, nieefektywny. Nie opóźnia go czasopisma poświęcone obronie (?) większej własności, ani przypisy przeciwownicy konserwatyzmu, choćby najzacieklejsze. Niestety, nie też nie pomoże tłumaczenie, że „potrzeby większego ziemiaństwa są rozleglejsze i wyższe...” niż jego środki. Wszakże takie rzeczą widoczną, że zmniejszenie skali potrzeb nieodwrotnie będzie w końcu musiało nastąpić. Można wprawdzie opóźnić ten przykry moment, ludzko się czas jakiś, a potem jeszcze jakiś czas żyć kosztom wierzyteli, jednak pierwsza z tych zwłok nie jest rozumną, druga nie może uciec i żadna nie ujdzie bezkarnie, tylko pierwsza odbija się na własnej przyszłości byłego ziemiaństwa, druga zaś na kredycie całego stanu ziemianskiego. Nie są więc chyba nieprzejnialni ziemian publicyści, którzy doradzają czy to założenie kamertonu potrzeb, czy odprzedaż ziemi włóscianom. Podnosząc tę sprawę, mam na myśli mocną się „głosy ze wsi”, odcydujące się coraz częściej przeciwko prasie t. z. postępowej.

Przechodząc do innych spraw prowincyi — i — nierad wjeżdżam do gubernii piotrkowskiej. Nierad, gdyż drogi tamozne bynajmniej do podróży nie zachęcają. Na trakcie widawsko-piotrkowskim np., jak donosi miejscowy organ, jest jedno tylko most — pod Rogoźnem, a resztę mostów nie ma wcale. Trakt rzeczony przecina w poprzek gubernię. Kolej warszawsko-wiedeńska, biegnąca wzdłuż gubernii, niebardzo także zachęca do wycieczek, jeżeli dużo miejscowości tak dogodnie łączy się ze swemi stacyami, jak miasto powiatowe Będzin, z którego prowadzi do kolei droga ciasna, pełna dolów i błot, — wieniemser prawie niemożliwa do przebycia bez latarni. Mimo to wszystkie przeskazy wypadu nam sążęd do Pabianic (niegdys podobno Pobawianie, od zabaw myśliwskich urządzanych w okolicznych lasach). W miasteczku tem odbyć się mają wyścigi, przypominające miastamorykańskie. Sądzę się będą członkowie strażki ogniowej, policy z niemcami, kto pierwszy do szopy ratunkowej przybędzie, gdy zostanie dany fałszywy alarm. Rzecz warta zanotowania, że spór, kto raźniejszy, policy czy Niemcy, wynikł pomiędzy członkami zarządu strażki, składającymi się wyłącznie z Niemców.

Z gubernii piotrkowskiej przejeżdżając nasza skłurze się w górzyste, uroczyste okolice Bodzentyna, w gub. kieleckiej. Mieszka tam kolonista Pożóg, człowiek młody, ale pijak i niepoł, który swoją dwudziestoletnią, przymtem łagodną, uciwiał i bogobojną seną poniewiera i bije. Nieszczęśliwa kobieta, po jednej z takich suchych łazni, rzuciła dom meżowski, aplanowała bieżnię do swojej ciotki zamieszkałej w gub. radomskiej, o kilka wiorst od niej. Droga wypadła przez wyniosłe wzgórze, u stóp gór świętokrzyskich, na których pobliskim szczyście wznoszą się gmachy niegdys benedyktynskiego klasztoru. Wspomniane wzgórze wznieszone jest wspaniałą seną, u stóp której rozciąga się przeliczna murawa. W dali widok na Bodzentyn, porożniane kolonie, kościółki, łany, parowy i cienne lasy. Przybywszy na wzgórze, pod seną, Pożógowa ujrzała cuną osobę w niekrytej bieli, która ją pocieszyła i odtąd biedną włósciankę codziennie przychodził kazała; w osobie tej Pożógowa poznała Bogarodzie. Na wieść o zjawisku ludności okoliczna zaczęła się zbiegać i doznawała najrozmaitszych wrażeń. Niektórzy widzieli osobę z książką, jak przy stolek kłękła, inni zauważyli gwałdzę spływającą wolno z obłoków i zatrzymującą się u stóp drzewa, niektórzy spostrzegając postać w bieli albo przypominającą wizerunek częstochowski, wielu słyszy dzwonięcie w koście, a mieszczanie z Bodzentyna „usmiechają się” i nie osobiłszywgo nie widzą. Donosi o tem korespondent *Gazety radomskiej*, i „nawet sądzi, że wszystko to było most skutkiem dziwnej jakiejś ekstazy i chorobliwej halucynacyi, której podlegają osoby słabowite i zdenerwowane...” lecz zwraca uwagę na to, „ile zdrowego a nieobrobionego materiału kryje się w tych sercach, przyoisnietych grubą siermięgą...” Nie mogłem dobrze zrozumieć, czy szanowny korespondent w „chorobliwej halucynacyi” widzi dowód „nieobrobienia” zdrowych materiałów. To pewna, że „wiednia” są zjawiskiem dosyć znanym i dosyć często się powtarzającym we wszystkich niemal więcej epokach i wyznaniach. Niegdys zajmowano się niemi wyłącznie z religijnego lub państwowego stanowiska. I wspomniany korespondent oczekuje wyjaśnienia od „świeckiej i duchownej władzy”. Szakoda, że nie pociąga go ku sobie badanie psychologiczne, obiektywne, tych zjawisk duchowych, jakie występują pośród gromadzącego się ludu z większą siłą i wręczistością, niż w zwykłych warunkach; że mianowicie nie interesuje go rozmaity stopień wiary u roz-

maitych gromad, zależny od różnych postronnych wpływów, zmiany zachodzące w zjawiskach moralnych, obyczajowych, tak osobistych jak i społecznych itp. Mieszającemu na miejscu, o kilka wiorst od endownej seny, łatwiej pociągnąć niż komu innemu byłoby przeprowadzić szereg odpowiednich spostrzeżeń.

Z południowych okolic kraju przenoszę się do Plocka i notując odczwę stowarzyszenia „Zgoda”, ogłoszoną w miejscowym *Korespondencie*, a zawiadamiającą p. Lejzora Banorka, zamieszkałego we Lwowie, że „Zgoda” nie wchodzi z nim w stosunki handlowe, dopóki p. Banerok w listach swych używał będzie języka niemieckiego zamiast krajowego. Podobnym sposobem odpowiedziała jedna z firm lubelskich warszawskiemu handlarzowi, zalecającemu po niemiecku swój towar. Jeżeli komisja ministeryalna, objędzając fabryki na zachodnich krosach Królestwa, poszukiwała i prowadzone przez Niemców, częstokroć zagranią nawet mieszających, zgorzonia była widokiem ksiąg handlowych prowadzonych wyłącznie po niemiecku, to cóż należało powiadać o naszych przedsiębiorstwach kupieckich i kantorach bankierskich, większych i mniejszych, prowadzonych przez ludzi ta zrodzonych, tu wychowanych, a jednak niemiernie wytrwale krzewiących.

Z okazji, że wystawa przemysłowo-rolnicza w roku przyszłym nie ma być urządzoną w Warszawie, *Korespondent plocki* wnosi projekt urządzenia jej w Plocku, objaśniając czytelników, że do tego potrzebne inicjatywy kilku czynnijszych osób. „Należałoby nadmienić, że oprócz inicjatywy potrzeba także... pieniędzy. Pisma” prowincjonalne słuszenie czynia, starając się zainteresować do organizowania wystaw gubernialnych; powinnyby wszakże postarać się o zebranie wiadomości choćby najogólniejszych w przedmiocie kosztów niezbędnych do takiego przedsięwzięcia. Danych do kosztorysów dostarczyćby częścią akta dotyczące wystaw warszawskich, częścią sprawozdanie o wystawie przygotowanej radomskiej, częścią może naknieć akta jedynie u nas, o Lublinie, prowincjonalne wystawy w Lublinie, odbyte około dwóch wieku temu. *Gazeta lubelska* od pewnego czasu chętnie sięga w przeszłość po materiały do swych artykułów. Historia wystawy lubelskiej powinaby znaleźć się w liczbie wspomnień miłych lubliniakom.

K. Zbrucki.

WYPOŻYCZANIE KSIĄŻEK.

Ciekawy przyczynek do sprawy własności literackiej i praw autorskich autorów niedawno w Niemczech rozpoczęła walka autorów przeciw wypożyczalnom książek za abonamentem (u nas zwany czytelniami).

Sprzecznoci interesów autora, wydawcy lub nakładcy z jednej, a właściciela z drugiej strony jest widoczna i zrozumiała. Nakładca kupuje od autora jego pracę umysłową dla wytworzenia z niej towaru w postaci książki. Powodzenie zaś wszelkiego handlu zależy od zbytu towarów. Im więcej rozprzodzą się egzemplarze, tem większym bywa zysk nakładcy, księgarza, pośredniczącego między nim a publicznością, a w normalnych warunkach i dochód autora. Jednocześnie tanieje także towar — książka, t. z.yskuje również czytająca publiczność.

Interes wypożyczalni natomiast polega na zasadzie, iż abonent ci czyta książki, lecz ich nie kupuje. Stąd wynika, że ona, będąc w stanie zaspokajać ciekawość wielu czytelników za pomocą jednego lub dwu egzemplarzy, przynosi niemałą szkodę autorowi lub księgarzowi, gdyż zmniejsza popyt na książki wśród czytającej publiczności.

*) Adolf Coste: *Środki zaradcze przeciw nędzy, czyli hygieny społecznej*. Warszawa 1887.

W Niemczech np. istnieje około 4,000 czytelników, posiadających nader licznych abonentów od sfer najwyższych do najniższych. U nas wprawdzie jest ich stosunkowo niewiele, ale bądź co bądź leżniejszemu powstawaniu ich w ostatnich czasach po części przypisać należy słabszy wciąż ruch księgarski, szczególnie w dziale beletrystyki. Jednorazowo przepłacając powieści, zajmującego romansu, opisu podróży itp. prawie w zupełności wystarcza i czyni często zbędnym nabycie książki na własność. W naszych stosunkach trzeba wziąć pod uwagę i niepraktykowaną gdzieś indziej drożyznę książek *).

Wobec tej sprzeczności między interesami księgarzy i czytelników niektórzy pisarze niemieccy **) podnoszą kwestję, czy właściciel czytelnika, kupując książkę po zwykłej cenie, już przez to samo nabywa prawo do wypożyczenia jej niezliczoną ilość razy? Wypożyczenie to wielce się różni od zwykłego użyczenia jakiegokolwiek rzeczy. Jeśli nam zwracamy pożyczony zegarek, to oddajemy wszystko, cośmy wzięli, nie nie zatrzymując dla siebie. Oddając zaś pożyczoną książkę, zwracamy wprawdzie również rzecz wziętą, jednak zatrzymujemy dla siebie to, po cośmy właściwie książkę wzięli, tj. jej treść.

Można zatem powiedzieć, że to zachodzi nie pożyczanie, lecz kupno - sprzedaż treści książki, z tą korzyścią dla właściciela czytelnika różniącą od zwykłej sprzedaży, iż on pozostaje nadal posiadaczem książki i może sprzedawać jej treść do nieskończoności, póki książka nie ulegnie zniszczeniu. Otóż z tego punktu widzenia wyskakiwanie treści przez właściciela czytelnika jest nieczem niezasadzonym i nieczem naruszeniem praw autora lub nakładcy. Dlaczegoż to on ma być bardziej uprzywilejowanym od nakładcy, który, kupując od autora prawo wydawania książki, nie raz za drogie pieniądze, niemiłosiernie ograniczonym w możliwości korzystania z tego prawa? Według brzmienia artykułu 287 „Ustawy o cenzurze ***)”, prawo powtórnego wydania książki powinno wspierać się na pierwotnej umowie między autorem i jego prawnym właścicielem, i tylko w braku układu piśmiennego dozwolono wydawcy drukować powtórnie książkę po upływie lat 5 od wypuszczenia w obieg edycji pierwszej. Jeżeli zatem nakładca nabywa prawo eksploatacji treści książki w mierze ograniczonej, to zdaje się, rzecz prosta, iż nie może on odpierać od razu z każdą pojedynczym egzemplarzem w mierze nieograniczonej.

Art. 282 „Ust. o cenzurze“ brzmi: „Każdy autor lub tłumacz książki w ciągu swego życia ma wyłączne prawo do ciągnięcia według swego uznania korzyści z wydawnictwa i sprzedaży takiej, jak z majątku dorobkowego.“ Zdanie naszym autor miałby najpewniejsze, w myśl tego artykułu, prawo zaopiekować się książką zarobkową jej wypożyczeniem, zmniejszającego korzyści nakładcy i autora. Za proste nabycie książki drukowanej nie jest wystarczającym dla możliwości eksploataowania jej treści, widać choćby stąd, iż właściciel prawa obowiązany jest nabyć najpierw za znaczną cenę prawo wystawiania utworu na scenie. Art. 349 „Ustawy o cen.“ stanowi, iż kompozycje muzyczne mogą być (z wyłączeniem oper i oratoriów) wykonywane publicznie, chyba że przy wydaniu utworu zrobiono na drukowanych jego egzemplarzach przeciwne temu zastrzeżenie, pod groźbą dochodzenia sądowego. Otóż, czem wykonanie publiczne dla utworu muzycznego, tem jest wypożyczenie zawodowe dla zwykłej książki, gdyż — i jedno i drugie zmniejsza popyt. Nie byłoby więc przeciwnem prawu postępowania autora, który, dbając o większą rozprzestrzenność swego dzieła w handlu, pomieszczył na okładce uwagę,

iż wypożyczenie egzemplarza w formie procedury zostaje zbroniem pod karą pieniężną. Podkreśliłby wyraz *proceder*, aby nie nasunąć czytelnikowi podejrzenia, iż to mowa o zwykłym wypożyczeniu książki. Między użyczeniem w restauracji a w domu prywatnym właściwie niema różnicy, a jednak rząd pobiera opłatę patentową tylko od restauratorów, którzy trudni się tem z zawodu i na gościach zarabia. Również sprawiedliwym zatem jest żądanie autora, aby, który z pożyczania książek ciągnie znaczny dochód, zapłacił za egzemplarz więcej, aniżeli prywatny nabywca-czytelnik. Taki egzemplarz byłby zaopatrzony w stosowną uwagę.

Rozumie się, iż w braku wyraźnego przepisu prawa, zgodnego z powyższymi naszymi poglądami, rozstrząsać kwestję pytanie, o ile sądy, gdyby przed ich forum wytoczono sprawę podobnego rodzaju, użalają zastrzeżenie autora na pojedynczych egzemplarzach książki za obowiązujące nabywcę. Nadmieniamy w końcu, że w Niemczech książki z podobnymi zastrzeżeniami już się pojawiły *), a właściciele czytelników, pomimo kryzysu na chwilę autorów, wolą zapłacić nieco drożej i nabywać egzemplarze osobnej kategorii, aniżeli narażać się na proces i ewentualne zapłacenie kary **).

Leon L.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Towarzystwo ogólnie na zwykłym posiedzeniu miesięcznem d. 27 m. m. dowiedzieli się o przemówieniu presea, dziekana Aleksandrowicza, że zarządy koła Terespolskiej, Warszawsko-Wiedeńskiej i Bydgoskiej zgodziły się na przewóz roślin, owoców, drzewek itp. połączami pospieszonymi za frachtem pocztowym towarowych, następnie że 7 grudnia dziekan Jurkiewicz, podgodał o gruntych ze względu na ich powstawanie, jakoś i zniszczenie — rozpocznie się cztery jesiennych pogadek. Podniesiono przez p. J. Kaczyńskiego wniosek o wysłanie delegatów na wystawę ogólną międzynarodową odbytą do ponownego odczytania i rozstrzygnięcia na posiedzeniu następnem. P. Janowski bawił się o produkowania na pojedyńcowo owocowych, jabłeczkach itp. i sam próby czynić w tym kierunku zamierza.

O dramacie polskim obszernie dzieło opracowuje Kraszewski, w dziele tem pomógłby innemu pomieszczyć będzie przekład utworu dramatycznego Jachłowskiego z 1722 r., grywanego u Jerutów w Lublinie, w którym to dramacie po raz pierwszy występuje u nas Faust.

Dwieście kalendarzy ma nas utulić rachubę czasu w przyszłym roku, tyle przynajmniej podało o pozwolenie na te wydawnictwa własności do tutejszej władzy prawowej. Z nich kolej czterdziestu ma być ilustrowane informacyjnie, a pozostałe, reklamowe, będą wydane kosztem handlujących.

Nowe linie telegraficzne w roku przyszłym poprowadzone będą mają z Siedle do Białej, z Łodzi do Kola i z Lublina do linii między Krasnym Stawem a Cuielmem. Pierwsza z nich kosztować będzie 4,500 rs., druga 4,700 rs., trzecia 3,000 rs.

Dopłaty kolejom żelaznym. Według dzienników petersburskich, kasa państwa wypłaci w roku przyszłym 18-tu kolejom żelaznym, których dochody są zagwarantowane przez rząd, przeszło 13,000,000 rs. Kolej warszawsko-bydgoską otrzyma 13,004,500 rs., warszawsko-terespolską 299,311 rs., lwagrodzko-dąbrowską 1,998,224 rs., nadwiślańską 335,994 rs.

W „Petersb. Wied.“ czytamy: „Pomimo strategicznego znaczenia linii kolej Nadwiślańskiej, personel służby tej kolej, jak wiadomo, składał się dotąd z samych tylko polaków i Niemców, którzy, nie bacząc na wojenną nieprzyjaźń, godzili się tu jako ze sobą.

*) Oskar Welten *Nicht für Kinder* Eln Nowellbach. Egzemplarz po 5 i 3 marki. Berlin, 1886. (Kara 100 marek).

**) Ze stanowiska słusznego i prawa wywodom tym nie zarzucić nie można, u nas wszakże pada na szale jeszcze dłałość o rozszerzanie czytelnictwa i oświaty, która up, w Niemczech ohar nie wymaga. Autorowie a z nimi nakładcy ze straci swych płać dą obywatelski. Red.

W stronie Kowla i Lublina można było jeszcze kiedyś niekiedy usłyszeć język rosyjski, ale od Nowej Aleksandry do Ilowa, cała służba kolejowa, od konduktora począwszy, a skończywszy na naczelnikach stacji i magazyń, n'e uznaje języka ogólnopolskiego i z pasażerami rozmawia tylko po polsku albo po niemiecku. Obecnie zwrócono uwagę na ten anormalny stan rzeczy i skąd osobisty służby ulega wciąż zmianie. Zwrócono także uwagę na wytwiercenie charakteru licznych zakładów przemysłowych, poskładanych przez cudzoziemców w okolicach Ciechanowa, Miawy i innych miejscowościach w pobliżu linii kolej Nadwiślańskiej. Donoszą również, że takie same środki przedsięwzięte być mają na linii Skierwiecie-Aleksandrowskiej.

Gmach gimnazjum w Łodzi. Zmarły Karol Szabier, znany przemysłowiec łódzki, zapisał 60,000 rs. na budowę gmachu gimnazjalnego w Łodzi. Obecnie spadkobiercy jego alzyli deklarację uzupełnienia tej sumy, niedostatecznej na budowę rzeczonego gmachu, z warunkiem, że budowa będzie prowadzona pod nadzorem ofiarodawcy w pod kierunkiem budowniczego przez nich obranego.

Na gimnazjum realne w Lublinie złożono już znaczną liczbę deklaracji. Pomiedzy innymi p. Eustachy Świeławski, prezes dyrekcji szcz. Tow. kred. ziemsk. zadeklarował złoty za mająca powstać szkole 6,000 rs.

Gimnazjum. Sprawa założenia gimnazjum realnego w Kaliszu, jak zapewnia organ miejscowy, znajduje się na najlepszej drodze.

Koncert na korzyść studentów uniwersytetu muzykalno-wokalno-deklamacyjnego odbył się d. 28 m. m. ze zwykłym, tj. zupełnem powodzeniem. Bilety już na parę dni przedtem były rozsprzedane.

Egzamin na nauczycieli. * *Warsz. Dziennik* pisze: Wykult zastosowała do warszawskiego okręgu przepisów o specjalnych egzaminach, wydanych przez ministra oświaty 15 maja 1870 r., powstał projekt ześrodkowania wszystkich specjalnych egzaminów nauczycieli wyłącznie w tym kraju przy zarządzie okręgu naukowego, który dotychczas, jak wiadomo, zajmuje się jedynie egzaminowaniem na pierwszy stopień klasowy. Zmiana motywuje się doniosłością egzaminów na nauczycieli, w kraju, koniecznością jednostajności kierunku i warunków oceny zasobów wiedzy egzaminowanych, tudzież uciążliwości dla gimnazjów tutejszych dokonywanych takich egzaminów.

Towarzystwo lekarskie w Łodzi w tych dniach się zawiązało. Na presexa wybrany został dr. Lohrer, na wicepresexa dr. Jonscher, na sekretarza dr. Koliński, na bibliotekarza dr. Rundo, na kasyera dr. Likiński. Zgodnie z ustawą powyższą rezultat wyborów przedstawiony został p. gubernatorowi piktrowskiemu do zatwierdzenia.

Orzeszkowa przedsięwzięła rozległą pracę, dotyczącą literatury rosyjskiej. Pozostając tej pracy są uskutecznione dotąd przez tę autorkę przekłady na język polski powieści rosyjskich. Trudność wynikała: 1) z braku dobrej, małoruskiej gramatyki i słownika, które dopiero w roku przyszłym wydane być mają we Lwowie przez p. Ogonskiego; ogłoszone dotąd gramatyki są bardzo złe, słownik obszerny istnieje jeden małorusko-niemiecki, inne zaś, małorusko-rosyjski Płuchowa i drobne małorusko-polskie, przyłączające do wydań niekiedy pismów, up. Wówczka i Fedkowicza, są bardzo niedostateczne; 2) dyalekt rosyjski odmieniany jest w różnych okolicach, inny u nadnieprzańskieg Wówczka, bukowickiego Fedkowicza i nadpółwiskiego Franka.

Czasopismo literackie wychodzi 13, miesinowiec 3 w New-Yorku, 3 w Tyłty, po 2 w Krolewcu, Memlu i Prokulnie. Rząd prukty wyśnawno 500 marek na wydawnictwo pisał ludowych.

Nowe wydanie kronikarzy litewskich przygotowało komisja archeograficzna w Petersburgu.

Utrudnienie. Kur. warsz. opowiada, że niejaki p. L. D., otrzymawszy w tych dniach paszport zagraniczny, udał się o zawinięcie do konsulatu niemieckiego. Tu po złożeniu opłaty, urzędnik manipulacyjny przyłożył stemple, wpisał mu „Rol. 5539 Registor 7935“ oraz datę i zaczął się podpisywać, ale rozmyślił się, przekreślił więc, zwrócił zapłacone pieniądze, a na zapytanie, czemu więc odmawia, odparł, że nie ma obowiązku się tłumaczyć.

Podręczniki. Kupy ze Strzałkowa i Wieruszowa, mistrzerek nadgranicznych, pragnąc pospiesznie wysłać pieniądze do Warszawy, oddają listy nie poctom miejscowym, gdyż te wysyłać raz na tydzień, ale po-

*) Przeciwnie, w wielu wypadkach ceny nasze są daleko niższe od zagranicznych, zwłaszcza angielskich. Red.

**) E. Wichert z Królówca, E. Francoz z Wiednia, J. Proklas z Frankfurtu nad M., O. Welten z Berlina i inni.

***) Rozdział VII „Ustawy o Cenzurze“ (Zbiór pr. cyw. t. XIV) obejmujący art. 282—366, zawiera przepisy o własności literackiej i artystycznej i obowiązku w Krolestwie od r. 1870.

bliskim zagranicznym pocztom pruskim, jako ekspedy-
jacyom codziennie.

Ograniczenie kredytu. Wojownicy nastroj gae-
clarski odbił się na interesach tutejszych. Kapitałci
niektórzy wstrzymali się od udzielania kredytu woko-
łom kupcom i przemysłowcom, tłumacząc się niepe-
wnością położenia. Natomiast w bankach depozyty
rosną.

Dobra Dolina z przyległościami, liczące około tysiąca
hektarów, nabył od hr. Eubieńskiego skarbu pruski na
całe kolonizacyę.

Spółka jednociosnych ślusarzy: siewiana przed 15
laty z początkowania k.ś. Taćcaśa Lubomirskiego,
rozwiła się, a sklep jej wyprowadza towary po ce-
nie koszu.

Zmarł. W Petersburgu hr. Olszta, współpracownik
niegdys *Kuryera wileńskiego*, autor „Obrazków spo-
łecznych”, wydanych w r. 1851 kilku sztuk dramatycz-
nych.

— W Krakowie Adam Honorcy Kikori, w r. 1863
redagował w Wilnie *Radegasta*, pismo zbiorowe. W r.
1845-60 pod pseudonimem Jana ze Słowa ogłosił *Pa-
miętniki umysłowe* w 3 tomach. W 1858 wydał 6 to-
mów *Teli wileńskiej*, noszącej podobnie jak i poprze-
dnie wydawnictwo zbiorowy charakter. Pomiędzy r.
1850—64 wydawał *Kuryera wileńskiego*, który pod je-
go kierownictwem liczył z góra 3,000 prenumera-
torów, a jednocześnie układał *Przebiegłości w Wilnie*
i *Przewodniki wileńskie*. Skutkiem zmiany stosun-
ków przesłał się do Petersburga i zaczął wydawać
Nowoje Wremia z dotychczasowymi sympatycznymi dla po-
koleń. Niepodewinię spowoladło wyjazd jego do
Krakowa, skąd pisywał do *Dzienn. poznawczego*, *Prze-
glądu powszechnego* i *Gazety warszawskiej*. Zostawił
rękopis o wykopaliskach w gub. płockiej.

— W Wiedniu dr Leopold Komper, kłanikarz
i powieściopisarz, cierpiący do swych utworów hej-
strystycznych treści z życia tygodniowego.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. A. Kor. Wierszyk nie ma motywowów oryginal-
nych, ale posiada teile zalet, że prosiomy o przysła-
nie prosi lanych.

P. Ferd. H. to Heidebergu. Wociewskiego 1867.
Nadto w powszechniej Lewestama i Scherra.

P. M. Ch. to Kijowa. Można. Kraushera kop. 50.
Bartusówny i 21 20 c.—razem z przysyłką rs. 1 k. 30.

P. L. L. Tego rodzaju pobieżne notatki nie dla
nas.

Ogłoszenia.

**Zarząd Wystawy higienicznej w Warsza-
wie**, podaje do wiadomości, że deklaracye
osób pragnących przysłać udział w Wysta-
wie, przysyłają się oddziennie od godz. 10
do 3 i od 5 do 7 w biurze wystawy w gma-
chu Magistratu.

Regulamin, program i blankiety na de-
klaracye będą wysyłane na żądanie.

Na Gwiazdkę!

„ŚWIATEŁKO”

KSIĄŻKA DLA DZIECI

napisana zbiorowo przez

Grono Autorów Polskich

najlepsza w tym rodzaju w literaturze
polskiej. W ozdobnej oprawie, z drzewo-
rytami w tekście. Cena rs. 1 kop. 80.

SZKICE I OBRAZKI

Bolesława Prusa (Aleksandra Głowackie-
go) tomów cztery z portretem autora.
Cena rs. 5.

W ozdobnej oprawie: rs. 6 k. 20.

Departament Handlu i przemysłu St. Petersburg Nr. 1360.

Broszura bezpłatna



Gwarancja długoletnia

„EXSICCATOR”

Zabezpieca wszystkie co z drzewa od gnicia, niszczy grzybak drzewny, osusza wilgoć w sta-
rych domach i zabezpiecza nowa. Dezinfekuje. Zastępuje olejną farbą we wszelkich kolorach i tańszy
od tejsze o 50%.

Inżynier RITTER, Warszawa, Królewska Nr. 39.

Poszukuje agentów.

SPOŁKA NAKŁADOWA

polecia następujące wydawnictwa swoje:

Chmielowski Piotr dr. Antorki Polska
wieku XIX, studium literacko-obyca-
jowe, ozdobione sześcioma portretami,
str. 541 rs. 2 kop. 50.

Jerzy Brandes: Głównie prądy literatury
europejskiej XIX w. Tom V. Sakoła
romantyczna we Francji, z portretem
autora str. 402 rs. 2.

Herbert Spencer: Zasady etyki, z 3-go wy-
dania oryginalnu angielskiego przełożył
Jan Karłowicz rs. 2.

Smoleński Władysław. Drobną Szlachta
w Królestwie Polskiem, studium etno-
graficzno-społeczne kop. 60.

Stanisław Kramsztyk: O postaci i ciężarze
ziemi kop. 50.

Biuro i ekspedycya Spółki Nakładowej:
Warszawa, Złota 23.

Nakładem Prawdy wyszło ilustrowane
dzieło słynnego badacza angielskiego J. E.
Taylora p. t.:

ZMYŚLNOŚĆ I MORALNOŚĆ ROŚLIN

w przekładzie J. K. Potockiego.

Książka ta, która liczy zaledwie parę
miesięcy a już zapowiadana jest w prze-
kładach na kilka języków europejskich,
w mistrzowski sposób, w niegwałocących
ściśłości naukowej upodobnieniach sto-
sunków roślinnych do ludzkich popula-
ryzuje prawdy i najnowsze odkrycia bo-
laniczne, otwierając najmniej przygo-
towanym nowy a uroczy świat zjawisk.

Treść: Przebiegłość kwiatów.— Ich dyploma-
cya.— Gra w chowanego.— Obrona nie zaczep-
ka.— Współdziałalność.— Społeczne i państwo-
we gospodarstwo roślin.— Ubóstwo i bankru-
ctwo.— Rabunek i morderstwo.— Odwrotna
strona medalu.— Geograficzne rozpowszechnie-
nie roślin.

Cena (w gustownej oprawie) rs. 2;
dla abonentów naszych, rs. 1 k. 50.

Zwracający się z żądaniami bezpośre-
dnio do naszej Administracyi kosztów
przesyłki pocztowej nie ponoszą.

W Administracyi Prawdy złożono do
sprzedania i ogz. Ogłoska w ozdobnej oprawie
i tygodnik Prawda za r. 1881, 1882,
1883, 1884 (cztery tomy w oprawie) i r.
1885 (tom nieoprawny).

Student uniwersytetu

poszukuje korepetycy, lub innego odpo-
wiedniego zajęcia. Może również udzielać
początków niemieckiego i francuskiego.
Oferty pod literami W. W. składać można
w redakcyi Prawdy.

Wielu nowych abonentów naszych wy-
raziło chęć posiadania poprzednich bezpłat-
nych dodatków Prawdy a niemożność na-
bycia ich po dotychczasowej cenie. Ulegając
temu życzeniu, dla nowych (od 1 października)
abonentów, którzy co najmniej opta-
czą prenumeratę półroczną, zniżamy cenę
wszystkich dodatków o połowę, tak, że
one kosztować będą:

Pypin: *Kwestya polska* (kilkanastele tylko
egzemplarzy) kop. 50 (zamiast rs. 1).

J. Brandes: *Główny prąd literatury XIX w.*
rs. 3 (zamiast rs. 6).

Ekonomia polityczna rs. 1 kop. 50 (zamiast
rs. 3).

Liard: *Logika* kop. 50 (zamiast rs. 1).

Esplan: *Spółczesność wiekująca* (zeszyt I)
kop. 25 (zamiast 50).

Zniżenie zatem ogólne wynosi rs. 5 k. 75.

Uwaga. Na koszt przesyłki pocztowej dostarcze-
niale kop. 15 do każdego rubla. Naturalnie, dla nie-
abonentów Prawdy cena owych dzieł pozostaje
wzniejsza.

Na początku roku przyszłego wydzie-
ni nakładem naszym w tłumaczeniu polskiem
epokowe dzieło amerykańskiego badacza
Morgana (z objaśnieniami Marxa i En-
gelsa), którego olbrzymią wartość wyka-
zywaliśmy szczegółowo w jednym z ar-
tykułów Prawdy — p. t.:

SPOŁECZEŃSTWO PIERWOTNE

czyli badanie postępu ludzkości od dzikości przez bar-
baryzm do cywilizacji.

Dzieło to, które dało nową podstawę bada-
niom naukowym, mające przeszło 40 arkuszy
druku, w drodze prenumeraty kosztować będzie
tylko rs. 3, z przysyłką rs. 3 k. 30. Po wyjściu
książki cena jej zostanie znacznie podwyższoną.

Przy Administracyi Prawdy, która od ty-
godnia mieści się w oficynie tegoż domu
na pierwszym piętrze (wejście na prawo)
urządzaon będzie nasza

KSIEGARNIA,

złatwinająca wszelkie zlecenia interesan-
tów co do kupna i sprowadzania książek
oraz prenumeraty piem. Abonenci Prawdy
w Warszawie mogą przysłać nam swoje
żądania pisemnie, a my im żądaną książkę
odesłamy do domu, gdzie jej oduc zapła-
ca. Również z prowincyi przyjmujemy od-
powiednie obstalunki.

Prenumeratę „PRAWDY” otrzymują przy
kodu każdego kwartału dodatku bezpłatny,
składający się z sześciu arkuszy druku.